

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



A. Czechow

OPOWIADANIA HUMORYSTYCZNE

Copyright by **Tower Press**

Wydawnictwo „Tower Press ”
Gdańsk 2001

Przedmowa

- *Czemu pieśni twoje tak krótkie? – zapytano ptaka. – Czy nie starczy ci oddechu?*
- *Mam bardzo wiele pieśni – odparł ptak – chciałbym je wszystkie przekazać światu.*

Tę alegorię, znaną w notatniku Czechowa, pozwalam sobie przytoczyć na wstępie do tych kilkunastu świeżo przetłumaczonych jego opowiadań.

Czechow należy nie tylko do wielkich, ale i do najbardziej kochanych pisarzy Rosji i świata. Ze wszystkich jego utworów przebija bowiem głęboka i serdeczna miłość do człowieka, gorący protest przeciwko krzywdzie i poniżeniu godności ludzkiej, lak charakterystyczny dla epoki, w której żył. A był to okres rozpanoszenia się reakcji, bezwzględnej dławienia wszelkich przejawów postępowej myśli: okres „czarnej solni”, pogromów Żydów. Wśród postępowej inteligencji rosyjskiej szerzył się głęboki pesymizm, brak wiary w możliwość wywalczenia lepszej przyszłości. Ruch robotniczy zaczynał się dopiero organizować i nie przedstawiał jeszcze w tym okresie decydującej siły politycznej, zdolnej do pociągnięcia za sobą postępowej inteligencji, zdolnej do wskazania jej drogi walki.

Pojawienie się wielkiego humorysty, umiającego śmieszyć i rozczulać do łez, to jakby rześki powiew świeżego powietrza w dusznej więziennej celi. Czechów był przedstawicielem tej lepszej części inteligencji końca wieku XIX, która rozumiała, że tak dalej żyć nie można. Nie był on rewolucjonistą, nie wyprzedzał swej epoki jak współczesny mu wielki Sałtykow Szczerdin. Na dramatyczne pytanie – „co robić” – Czechów nie umiał odpowiedzieć. Natura jego miękka i podatna na sugestie ulegała nastrojom społeczeństwa, odzwierciedlała jego załamanie po latach osiemdziesiątych i stopniowe wznoszenie się aż do rewolucji 1905 r., której Czechow już nie dożył.

Dzielo jego to olbrzymia mozaika z drobnych, najdrobniejszych kamyczków całego życia rosyjskiego w latach panowania Aleksandra III, wymowny i przekonujący akt oskarżenia. Piętnuje w nim ospałość, tępotę, służalczość aparatu państwowego, szarzyznę i martwość ówczesnego życia. W owe lata samo realistyczne postawienie problemów życia, pokazanie bezgranicznej tępoty carskiego aparatu państwowego działało rewolucyjnie, cierpienie małych i cichych bohaterów wzburzało i pobudzało do czynów. Los biednego sieroty Wani oddanego do terminu do złego majstra czy 12-letniej Warki, która będąc służącą przy dziecku, popada w obłęd z niewyspania – to obrazy budzące w czytelniku protest przeciwko porządkowi społecznemu, w którym dzieci cierpią tak bardzo.

„Wielkie dzieło tworzyście małymi opowiadankami, wzbudzając w ludziach wstręt do tego sennego, na wpół martwego życia – diabli by je wzięli!” – pisze do Czechowa Gorki w latach dziewięćdziesiątych.

W twórczości Czechowa jedną z najpoważniejszych twórczości zajmują drobne opowiadania.

– Przywykłem do opowiadań – mawiał Czechow – składających się tylko z początku i końca.

W tym anegdotycznym powiedzeniu mamy najlepiej wyrażony stosunek pisarza do formy. Rzeczywiście, w krótkich utworach mistrzostwo jego sztuki pisarskiej znalazło najdoskonalszy

wyraz. Mamy tu zarówno ostre utwory satyryczne, jak „Śmierć urzędnika”, „Gruby i chudy”, przysłowiowego w Rosji „Kaprala Priszibiejewa”, czy perelki rodzajowego humoru, jak „Miętus” lub „Na placu moskiewskim Trubnaja”, pełne niefrasobliwego humoru opowiadania „Końskie nazwisko”, „Bezbronna istota”, na koniec czarujący obrazek z życia dzieci „Chłopcy”.

Twórczość Czechowa najlepiej scharakteryzował Gorki: „Ze śmiercią Czechowa odejdzie jeden z najlepszych przyjaciół Rosji, przyjaciel mądry, sprawiedliwy, szczery, przyjaciel kochający, współczujący we wszystkim”. „I Rosja cała zadrży z żalu, i długo nie będzie go mogła zapomnieć, długo będzie się uczyć rozumieć życie podług jego pism, rozjaśnionych smutnym uśmiechem kochającego serca, według jego opowiadań przenikniętych głęboką znajomością życia, bezinteresowną miłością i współczuciem do ludzi, nie litością, lecz współczuciem mądrego i subtelnego człowieka, który rozumiał wszystko”.

RADOŚĆ

Była godzina dwunasta w nocy.

Mitia Kułdarow, podniecony, z rozczochraną czupryną, wpadł do mieszkania swoich rodziców i szybko przebiegł wszystkie pokoje. Rodzice już kładli się spać. Siostra leżała w łóżku i kończyła ostatnią stronę powieści. Bracia gimnaziści spali.

– A ty skąd wracasz? – zdziwili się rodzice. – Co się z tobą dzieje?

– Och, nie pytajcie! Wcale się tego nie spodziewałem! Wcale się tego nie spodziewałem! To... wprost nie do wiary!

Mitia głośno się zaśmiał i upadł na fotel, gdyż ze szczęścia nie mógł utrzymać się na nogach.

– To po prostu jest niewiarogodne! Nawet nie możecie sobie wyobrazić! Popatrzcie tylko!

Siostra wyskoczyła z łóżka i narzuciwszy na siebie kołdrę zbliżyła się do brata. Obudzili się gimnaziści.

– Co ci jest? Poznać cię trudno!

– To z radości, mamu! Przecież cała Rosja mnie zna teraz! Cała! Dotychczas tylko wy wiedzieliście, że istnieje na tym świecie registrator kolegialny Dymitr Kułdarow, a teraz zna mnie cała Rosja! Mamusiu! O, Boże!

Mitia zerwał się z fotela, przebiegł przez wszystkie pokoje i znowu usiadł.

– Ale co się stało? Mów! Opowiadaj wyraźnie!

– Żyjecie jak dzikie zwierzęta, gazet nie czytujecie, nie zwracacie żadnej uwagi na najświeższe wiadomości, podczas gdy w nich jest tyle ciekawych rzeczy! Jeżeli coś się wydarzy, natychmiast wszystko wiadomo, nic się nie ukryje! Jakiż ja jestem szczęśliwy! O Boże! Przecież gazety drukują tylko o ludziach sławnych, a tu tymczasem o mnie napisali!

– Co ty mówisz? Gdzie?

Ojciec zbladł. Matka spojrzała na święty obraz i przeżegnała się. Gimnaziści zerwali się z łóżek i tak jak stali, tylko w krótkich nocnych koszulkach, zbliżyli się do starszego brata.

– Tak jest! O mnie napisali! Teraz wie o mnie cała Rosja! Mamusiu, proszę schować ten numer gazety na pamiętkę! Można będzie od czasu do czasu przeczytać. Patrzcie!

Mitia wyciągnął z kieszeni gazetę, podał ojcu i wskazał palcem ustęp zakreślony niebieskim ołówkiem.

– Proszę przeczytać! Ojciec włożył okulary.

– Niechże ojciec czyta!

Matka spojrzała na obraz i przeżegnała się. Ojciec odchrząknął i zaczął czytać:

„29 grudnia, o jedenastej wieczorem, registrator kolegialny Dymitr Kułdarow...”

– Widzicie, widzicie? Dalej!

„...registrator kolegialny Dymitr Kułdarow, wychodząc z szynku przy ulicy Małej Bronnej i będąc w stanie nietrzeźwym...”

– To ja z Sjemionem Pietrowiczem... Opisane ze wszystkimi szczegółami! Niechże ojciec czyta dalej! Słuchajcie!...

„... i będąc w stanie nietrzeźwym pośliznął się i wpadł pod konia stojącej tu dorożki,

należącej do mieszkańca wsi Dyrkino, juchnowskiego powiatu, Iwana Drotowa. Spłoszony koń przestąpiwszy przez Kułdarowa i przejechałszy przez niego saniami, w których znajdował się kupiec moskiewski drugiej gildii Stefan Łukow, zaczął ponosić wzdłuż ulicy i został zatrzymany przez dozorców domowych. Kułdarow, będąc początkowo w stanie omdlenia, został odprowadzony do komendy policji i zbadany przez lekarza. Uderzenie, jakie otrzymał w potylicę..."

– Uderzyłem się o hołoblę, ojczulku. Dalej! Proszę czytać dalej!

„...jakie otrzymał w potylicę, zostało uznane za obrażenie lekkie. Spisano protokół. Poszkodowanemu udzielono pomocy lekarskiej..."

– Kazano mi kłaść zimne okłady! Czytał ojczulek? Co? Otóż to właśnie! Teraz ta wiadomość już rozeszła się po całej Rosji! Proszę dać mi gazetę!

Mitia chwycił gazetę, złożył ją i wsunął do kieszeni.

– Pobiegnę do Makarowych, im też pokażę... Trzeba jeszcze pokazać Iwanickim, Natalii Iwanownie, Anisimowi Wasiljiczowi.. No, pędzę! Bądźcie zdrowi!

Mitia włożył na głowę czapkę z bączkiem i tryumfujący, uszczęśliwiony, wybiegł na ulicę.

1883

ŚMIERĆ URZĘDNIKA

Pewnego pięknego wieczoru niemniej piękny egzekutor Iwan Dmitrycz Czerwiakow siedział w drugim rzędzie parteru i przyglądał się przez lornetkę scenie z „Dzwonów kornewilskich”. Patrzył i czuł się u szczytu szczęścia. Gdy wtem... W opowiadaniach często spotyka się to „gdy wtem”. Autorzy mają rację; życie tak pełne jest niespodzianek! A więc wtem twarz jego wykrzywiła się, oczy uciekły pod powieki, zabrakło mu tchu... odjął od oczu lornetkę, pochylił się i... apsik!!! Kichnął, jak państwo widzą. Kichać wolno każdemu. Kichają chłopci i policmajstrzy, a niekiedy nawet radcy tajni. Wszyscy kichają, Czerwiakow bynajmniej tym się nie zmieszał, wytarł nos chusteczką i, jak przystało na uprzejmego człowieka, rozejrzał się wokoło, czy przypadkiem swoim kichnięciem nie zakłócił komu spokoju. I tu właśnie czekała go kontuzja, spostrzegł bowiem, że siedzący przed nim w pierwszym rzędzie staruszek, starannie wycierając rękawiczką łysinę i kark, coś do siebie mrucał. W staruszkę tym Czerwiakow poznał radcę stanu z departamentu komunikacji, generała Brizżałowa.

„Opryskałem go! – pomyślał Czerwiakow. – Nie mój zwierzchnik, z innego urzędu, lecz bądź co bądź nieprzyjemnie. Trzeba przeprosić”.

Czerwiakow odchrząknął, pochylił się naprzód i szepnął generałowi do ucha:

- Ekscelencja raczy mi wybaczyć, opryskałem ekscelencję... niechcący...
- Nie szkodzi, nie szkodzi...
- Na miłość boską, proszę mi wybaczyć! Ja przecież... nie chciałem!
- Ależ, niech pan siedzi spokojnie! I pozwoli mi słuchać!

Czerwiakow zmieszał się, głupio się uśmiechnął i zaczął patrzeć na scenę. Patrzył, ale uczucie błogości już minęło. Zaczął go dręczyć niepokój. W czasie antraktu podszedł do Brizżałowa, pokręcił się koło niego i, pokonawszy nieśmiałość, wykrztusił:

– Ekscelencjo, ja opryskałem waszą ekscelencję... Proszę mi wybaczyć... Ja przecież... nie, żeby...

– Ach, bagatelka... Już nawet zapomniałem, a pan wciąż o tym... – powiedział generał i ze zniecierpliwieniem skrzywił dolną wargę.

„Zapomniał, a patrzy zjadliwie – pomyślał Czerwiakow, z niedowierzaniem spoglądając na generała. – I nawet mówić nie chce. Trzeba by było mu wytłumaczyć, że ja wcale nie chciałem... że to prawo natury, bo gotów pomyśleć, że chciałem napluć na niego. Jeżeli nawet teraz nie pomyśli, to pomyśli później...!”

Wróciwszy do domu, Czerwiakow opowiedział swej żonie o tym nieprzyjemnym wypadku. Żona, jak mu się wydało, zlekceważyła ten wypadek; na razie też się zlekła, ale później, gdy się dowiedziała, że Brizżałow jest w innym urzędzie, uspokoiła się.

– Może jednak pójdziesz do niego i przeprosisz – powiedziała. – Gotów pomyśleć, że nie umiesz zachować się w miejscu publicznym.

– O to właśnie chodzi! Już go przepraszałem, ale on jakoś tak dziwnie... Jednego słowa jak się należy nie powiedział. Zresztą nie było nawet czasu na rozmowy.

Następnego dnia Czerwiakow włożył nowy mundur, ostrzygł się i poszedł do Brizżałowa,

żeby wytłumaczyć się. Gdy wszedł do sali przyjęć, ujrzał mnóstwo interesantów, a wśród nich i samego generała, który już zaczął załatwiać sprawy. Wysłuchawszy kilku petentów, podniósł wzrok na Czerwiakowa.

– Wczoraj w „Arkadii”, jeśli ekscelencja raczy sobie przypomnieć – rozpoczął egzekutor – kichnąłem i... niechcący opryskałem... Prze...

– Co za głupstwa pan plecie! A pan czego sobie życzy? – generał zwrócił się do następnego petenta.

„Nawet rozmawiać nie chce! – błędnie pomyślał Czerwiakow. – To znaczy, że się gniewa... Nie, tego tak zostawić nie można—Muszę mu wyjaśnić...”

Gdy generał skończył rozmowę z ostatnim petentem i skierował się do dalszych apartamentów, Czerwiakow zrobił za nim parę kroków i zaczął bełkotać:

– Ekscelencjo! Jeżeli ośmielam się zakłócić spokój ekscelencji, to jedynie z poczucia, że tak powiem, swej winy... Nienaumyślnie, sam pan raczy wiedzieć...!

Generał skrzywił twarz jakby do płaczu i machnął ręką.

– Ależ pan po prostu kpi sobie ze mnie, szanowny panie – powiedział znikając za drzwiami.

„Gdzież tu kpiny? – pomyślał Czerwiakow. – Nie ma tu żadnych kpin! Generał, a nie może tego zrozumieć! Jeśli tak, to nie będę więcej przeproszać tego pyszałka. Niech go diabli porwą! Napiszę do niego list, ale przychodzić więcej nie będę. Jak Boga kocham, nie będę!”

Tak rozmyślał Czerwiakow w drodze do domu. Listu jednak do generała nie napisał. Myślał i myślał, lecz w żaden sposób tego listu nie mógł wymyślić. Musiał następnego dnia sam iść z wyjaśnieniem.

– Wczoraj już przychodziłem niepokoić waszą ekscelencję – wybełkotał, gdy generał ze zdziwieniem na niego podniósł oczy – nie po to, żeby kpić, jak to ekscelencja raczyła powiedzieć. Chciałem przeprosić ekscelencję za to, że kichając opryskałem... ale żartować nie myślałem. Gdzieżbym ośmielił się żartować? Jeżeli będziemy żartowali, to wówczas, znaczy się, żadnego szacunku dla samej osoby nie będzie...

– Wynoś się stąd! – raptem wrzasnął, aż siny i trzęsący się z gniewu, generał.

– Co proszę? – Czerwiakow spytał szeptem, omdlewając z przerażenia.

– Wynoś się stąd! – powiedział generał i zatupał nogami.

W Czerwiakowie coś się załamało. Nic nie widząc i nie słysząc Czerwiakow zaczął cofać się tyłem do drzwi, wyszedł na ulicę i, zataczając się, powlókł się do domu... Wszedł do mieszkania, nie zdejmując munduru położył się na kanapie i... umarł.

TLUSTY I CHUDY

Na dworcu Mikołajewskim spotkali się dwaj przyjaciele: jeden był tłusty, drugi – chudy. Grubas przed chwilą zjadł obiad na dworcu; jego lśniące, jakby posmarowane tłuszczem wargi czerwieniły się jak dojrzałe wiśnie. Dokoła niego rozchodził się zapach wina i fleur d'orange'u. Chudy właśnie wyszedł z wagonu obładowany walizkami, pakunkami i zawiniątkami. Prześiąknięty był zapachem jakiejś wędliny i fusami kawy. Spoza jego ramienia wyglądała szczuplutka kobiecinka ze szpiczastym podbródkiem – jego żona. Pochód zamykał wysoki gimnazysta z przymrużonym okiem – ich syn.

– Porfiry! – krzyknął grubas ujrawszy chudego. – Czy to ty? Kochany mój! Kopę lat, kopę lat!

– Mój Boże! – zdumiał się chudy. – Misza! Przyjacielu lat dziecińczych! Skądę się tu wziął?

Objęli się i trzykrotnie ucałowali, spoglądając na siebie oczyma pełnymi łez. Obaj byli przyjemnie oszołomieni.

– Mój drogi! – zaczął chudy po pocałunkach. – Nie spodziewałem się tego! A to ci niespodzianka! No, popatrz na mnie! Tak samo przystojny, jak był. Taki miły i elegancki! Ach, mój Boże! No, jak ci się powodzi? Jesteś bogaty? Żonaty? Bo ja, jak widzisz, jestem już żonaty... To jest moja żona, Luiza, z domu Wancenbach... luteranka... A to mój syn, Nafanaił, uczeń trzeciej klasy. To, Nafanaiłku, mój przyjaciel z lat dziecińczych! Razem uczyliśmy się w gimnazjum! Nafanaił pomyślał chwilę i zdjął czapkę.

– Razem uczyliśmy się w gimnazjum! – ciągnął chudy. – Pamiętasz, jak cię nazywali? Nazywali cię Herostratesem,¹ dlatego że wypaliłeś papierosem dziurę w książce, która była własnością szkoły, mnie zaś – Efiatem,² gdyż byłem skarżypytą. Ho, ho... Dzieci byliśmy! Nie bój się, Nafaniu. Podejdź do niego bliżej... A to jest moja żona, z domu Wancenbach... luteranka...

Natan chwilę myślał i schował się za ojca.

– No, a co u ciebie słyhać? – spytał tłusty patrząc z radością na chudego. – Pracujesz gdzieś? Dochrapałeś się czego?

– Pracuję, mój kochany! Jestem asesorem kolegialnym od dwóch lat i nawet dostałem order Stanisława. Pensja licha... ale Bóg tam z nią! Żona daje lekcje muzyki, ja zaś, prywatnie oczywiście, robię drewniane papierośnice! Doskonałe papierośnice! Sztukę sprzedaję po rublu! Jeżeli ktoś bierze dziesięć sztuk lub więcej, to, ma się rozumieć, dostaje rabat. W ten sposób jakoś sobie dajemy radę. Pracowałem w departamencie, a teraz zostałem naczelnikiem kancelarii w tym samym ministerstwie... Będę teraz tutaj pracował. No, a ty? Pewnie już jesteś radcą stanu? Co?

– Nie, mój kochany, celuj wyżej – powiedział gruby. – Dosłużyłem się stopnia tajnego radcy... Mam dwie gwiazdki.

¹ Herostrates – grecki szewc, który dla zdobycia sławy spalił słynną świątynię Diany efeskiej w 356 roku p.n.e.

² Efiates – grecki zdrajca, który ułatwił Persom zdobycie Termopil bronionych przez Spartan w 480 roku p.n.e.

Chudy nagle zbladł, znieruchomiał, ale po chwili twarz jego wykrzywił szeroki uśmiech; zdawało się, że z jego twarzy i oczu posypały się iskry. Skurczył się, zgarbił, stał się jeszcze cieńszy... Jego walizy, tłumoczek i kartonowe pudła skurczyły się i zmałyły... Wydłużony podbródek jego żony wydłużył się jeszcze bardziej; Nafan stanął na baczność i zapiał mundurek na wszystkie guziki...

– Wasza ekscelencjo... bardzo mi miło! Przyjaciół lat dziecińczych, a teraz dygnitarz...! Hi – hi – hi!

– Dajżeż spokój – skrzywił się gruby. – Po co ten ton? Od dzieciństwa jesteśmy przyjaciółmi, więc po co ta urzędowa czołobitność.

– Wasza wielmożność, proszę wybaczyć... Jakżeż ma być inaczej – zachichotał chudy i skurczył się jeszcze bardziej. – Łaska waszej wielmożności... to jakby ożywczy deszczyk... A oto, mój syn, Nafan... a to moja żona Luiza, luteranka... do pewnego stopnia...

Tłusty w pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale na twarzy chudego malował się tak głęboki szacunek, tyle słodczy i wzbudzającego mdłości uszanowania, że tajny radca poczuł niesmak i odwrócił się podając chudemu rękę na pożegnanie.

Chudy uściskał mu trzy palce, zgiął się we dwoje w ukłonie i zachichotał jak Chińczyk: „Hi– hi —hi”. Żona uśmiechnęła się. Nafan szurgnął nogą i upuścił czapkę. Cała trójka była przyjemnie oszołomiona.

NA MOSKIEWSKIM PLACU „TRUBNAJA”

Niewielki plac w pobliżu klasztoru pod wezwaniem Narodzenia Pańskiego nosi nazwę Trubnaja lub po prostu Truba; w niedzielę odbywa się na nim targ. Snują się po nim, jak raki w przetaku, setki kozuchów, bekiesz, futrzanych czap, cylindrów. Słychać śpiew różnych ptaków, co przypomina wiosnę. Kiedy świeci słońce i na niebie nie ma chmur, to śpiew ptaków i zapach siana odczuwa się o wiele mocniej, wspomnienia o wiosnie pobudzają myśli, unosząc je daleko, daleko.

Po jednej stronie placu ustawiono rzędami wozy. Na wozach nie ma ani siana, ani kapusty, ani bobu, są natomiast szczygły, czyżyki, żurawie, skowronki, kosy, szare drozdy, sikorki i gile. Całe to ptactwo skacze w nieudolnie skleconych własnego wyrobu klatkach i, szczebiocząc, z zazdrością spogląda na wróble znajdujące się na wolności. Szczygły kosztują pięć kopiejek, czyżyki są droższe, na pozostałe zaś ptaki nie ma określonej ceny.

– Ile kosztuje skowronek?

Sprzedawca sam nie wie, jakiej ceny zażądać za skowronka. Drapie się za uchem i podaje taką cenę, jaka mu przyjdzie do głowy. Albo rubel, albo trzy kopiejki, w zależności od kupującego. Ale są i ptaki bardzo kosztowne. Na zabrudzonym drążku siedzi wyleniaty staruszek–drozd z wyskubanym ogonem. Wygląda solidnie, poważnie i siedzi nieruchomo niby zdymisjonowany generał. Dawno już machnął łapką na swą niewolę i patrzy już obojętnie na błękitne niebo. Widocznie z powodu tej swojej obojętności jest uważany za ptaka rozsądnego. Nie kupi się go taniej niż za czterdzieści kopiejek. Koło ptaków, grzęznąc w błocie, tłoczą się uczniowie gimnazjalni, rzemieślnicy, młodzi panowie w modnych płaszczach, miłośnicy ptaków w mocno zniszczonych czapkach, w podwiniętych, obstrzępionych, jakby przez myszy pociętych spodniach. Młodzikom i rzemieślnikom handlarze sprzedają samiczki zamiast samców, młode zamiast starych... Nie bardzo znają się oni na ptakach. Ale prawdziwego amatora nikt nie oszuka. Ci z daleka dobrze oceniają ptaki.

– Nie mam zaufania do tego ptaka – mówi znawca zaglądając czyżykowi w dziób i licząc piórka w jego ogonie. – Teraz śpiewa, to prawda, ale co z tego? Ja również w towarzystwie zaśpiewam. Nie, bratku, ty mi bez towarzystwa zaśpiewaj, zaśpiewaj sam jeden, jeżeli potrafisz... Podaj mi tego tam, co siedzi i milczy! Milczka podaj! Milczy, widać, że coś sobie myśli...

Między wozami z ptakami trafiają się wozy z innymi stworzeniami. Można zobaczyć tu zające, króliki, jeże, świnki morskie, tchórze. Siedzi zajac, rozpaczliwie żując słomę. Świnki morskie dygocą z zimna, jeże zaś z zaciekawieniem przyglądają się publiczności spod swoich igielek.

– Wyczytałem gdzieś – mówi urzędnik ministerstwa poczt, w wypłowiałym płaszczu/ nie zwracając się specjalnie do nikogo i z zachwytem patrząc na zajaca – wyczytałem, że u pewnego uczonego kot, mysz, kobuz³ i wróbel jadły z jednej miski.

– To bardzo możliwe, proszę pana. Widać, że kot był bity, a kobuz cały ogon ma

³ kobuz – gatunek jastrzębia.

wyskubany. Żadnej uczoności tu nie ma, wielmożny panie. Mój kum miał kota, który, z przeproszeniem, jadł ogórki. Kum dwa tygodnie młócił go biczyskiem, dopóki go nauczył. Zając, jeśli go się będzie bić, potrafi nawet zapalać zapałki. Niech pan się nie dziwi. To zwykła rzecz! Weźmie w pysk zapałkę i – pstryk! Stworzenie potrafi robić to samo, co człowiek. Człowiek, gdy go się bije, staje się mądrzejszy, tak samo stworzenie.

W tłumie kręcą się przekupnie z kogutami i kaczkami pod pachą. Wszystkie te ptaki są chude i głodne. Kurczęta wysuwają z klatek swe brzydkie, niewypierzone łebki i coś dziobią w błocie. Chłopcy–gołębiarze zaglądają człowiekowi w oczy i usiłują odgadnąć w nim amatora gołębi.

– Taak! Niesposób panu wytłumaczyć! – krzyczy ktoś ze złością. – Proszę najpierw się przyjrzeć, a potem mówić! Czy to jest gołąb? To jest orzeł, a nie gołąb!

Wysoki, szczupły mężczyzna z bokobrodami i z ogolonymi wąsami, chory i pijany, sądząc z powierzchowności – lokaj, sprzedaje białego jak śnieg bolończyka. Stary bolończyk skomli.

– Kazała mi sprzedać to świństwo – mówi lokaj uśmiechając się pogardliwie. – Zbankrutowała na starość, nie ma co jeść, więc teraz psy i koty sprzedaje. Płacze, całuje w obrzydliwe pyski i z nędzy sprzedaje. Święta prawda! Proszę państwa, proszę kupić! Pieniądze są potrzebne na kawę.

Ale nikt się nie śmieje. Obok stoi chłopak i, przymrużywszy jedno oko, patrzy na niego poważnie, ze współczuciem.

Najciekawszy jest bazar z rybami. Około dziesięciu chłopów siedzi rzędem. Przed każdym wiadro, a w wiadrach malutkie, miniaturowe piekło. Tam w zielonkawej, mętnej wodzie poruszają się małe karasie, piskorze, płotki, muszelki, żaby, trytony. Duże rzeczne żuki z połamanymi nogami śmigają po malutkiej powierzchni, włączając na karasie i przeskakując przez żaby. Żaby włączają na żuki, trytony – na żaby. Żywotne stworzenia! Ciemnozielonkawe liny, jako droższe ryby, mają lepsze warunki: trzymane są w osobnych słojach, w których, choć nie mogą pływać, mimo to nie jest tak ciasno...

– Pyszna ryba ten karaś! Hodowany karaś, wielmożny panie, żebym tak zdrów był! Cały rok można go trzymać w kubelku i żyje. Tydzień będzie, jak nałapałem tych ryb. Nałowiłem ich, proszę szanownego pana, w Przerwie i przyszedłem stamtąd pieszo. Karasie po dwie kopiejki, piskorze po trzy, a płotki dziesiątka za dziesiątek, bodajby zdechły. Pozwoli pan płotek za piątkę? Może każe pan dać kilka robaków?

Przekupień wkłada do wiadra swe grube, szorstkie palce i wyjmuje z niego delikatną płoteczkę lub karasika wielkości paznokcia. Obok wiadra leżą porozkładane linki do wędek, haczyki i mieniące się w słońcu czerwonym światłem robaki.

Między wozami z ptakami i wiadrami z rybami chodzi staruszek–amator w futrzanej czapie, w okularach w metalowej oprawie i w kaloszach podobnych do dwóch pancerników. Jest to, jak go tu nazywają „typek”. Nie ma przy sobie ani kopiejki, ale nie zważając na to, targuje się, denerwuje, wtrąca do kupujących swoje trzy grosze. Mniej więcej w ciągu godziny zdążył już obejrzeć wszystkie zające, gołębie, ryby – obejrzeć dokładnie i ogłosić wszem wobec gatunek, wiek oraz cenę każdego stworzenia. Interesuje się jak dziecko młodymi szczygiełkami, karasikami i płotkami. Porozmawiajcie z nim na przykład o drozdach, a ten dziwak opowie wam to, czego nie znajdziecie w żadnej książce. Będzie opowiadał z zachwytem, namiętnie, jeszcze zgani was za nieuctwo. O szczygłach i gilach gotów jest mówić bez końca, wytrzeszczając oczy i gwałtownie wymachując rękami. Można go spotkać na tym placu tylko zimą, gdyż latem gdzieś za Moskwą wabi przepiórki i na wędkę łowi ryby.

A oto drugi „typek” – bardzo wysoki, bardzo chudy pan w ciemnych okularach, ogolony, w kaszkiecie z bączkiem podobny do poddiaczka⁴ z dawnych czasów. To znawca: ma nie

⁴ poddiaczek – prawosławny kleryk.

był jakieś stanowisko, jest nauczycielem gimnazjalnym i o tym wiedzą wszyscy stali bywalcy Truby, odnoszą się do niego z szacunkiem, kłaniają mu się i nawet wymyślili dla niego specjalne przezwisko: „Zaimek”. Koło magazynu Sucharewa Zaimek grzebie w książkach, natomiast na Trubie szuka rasowych gołębi.

– Pan będzie łaskaw! – krzyczą do niego gołębiarze. – Szanowny panie Zaimek, proszę zwrócić uwagę na turmany, panie Zaimek!

– Panie Zaimek! – krzyczą do niego z różnych stron.

– Panie Zaimek – gdzieś na bulwarze powtarza andrus.

A Zaimek widocznie od dawna już przyzwyczał się do swego przezwiska i, poważny, surowy, bierze w obydwie ręce gołębia i uniósłszy go nad głowę, zaczyna go oglądać i nasepia się jeszcze bardziej, staje się poważny niczym spiskowiec.

Truba, ten niewielki kawałeczek Moskwy, gdzie tak czule kochają stworzenia i gdzie je tak męczą, żyje swym mizerniutkim życiem, gwarna i rozfalowana, a ludzie, zajęci swymi sprawami lub w drodze do cerkwi na nabożeństwo, ludzie, którzy przechodzą obok idąc po bulwarach, nie rozumieją, po co zebrał się ten tłum, ta pstra mieszanina kapeluszy, czapek i cylindrów, o czym tu rozmawiają, czym handlują. 1883

EGZAMIN NA WYŻSZE STANOWISKO

Galkin, nauczyciel geografii, wziął się na mnie i zobaczycie, że dziś nie zdam u niego egzaminu – mówił, nerwowo zacierając potniejące ręce, ekspedytor Oddziału Poczтового Jefim Zacharycz Fendrikow, siwy brodaty mężczyzna, z dużą, wzbudzającą szacunek łysiną i solidnym brzuchem. Nie zdam... Jak Bóg na niebie... A rozgniewał się na mnie z powodu bagatelki. Pewnego razu przychodzi do mnie z listem poleconym i przeciska się przez tłum interesantów, żebym ja, rozumiecie, przyjął jego list najpierw, a potem dopiero listy pozostałych. Tak nie powinno być... Należy on wprawdzie do ludzi wykształconych, ale mimo wszystko powinien przestrzegać porządku i poczekać. Zrobiłem mu grzeczną uwagę. „Łaskawy panie, proszę stanąć w kolejce” – mówię do niego, on zaś poczerwieniał i odtąd zawziął się na mnie niczym Saul.⁵ Synkowi memu Jegoruszce pałki stawia, o mnie zaś różne brednie rozpowiada po mieście. Pewnego razu przechodzę obok traktierni Kuchtina, a on wychyla się przez okno z kijem bilardowym i krzyczy po pijanemu na cały plac: „Proszę państwa, proszę spojrzeć: oto idzie wycofany z obiegu stary znaczek pocztowy”.

Nauczyciel języka rosyjskiego Piwomiodow, który stał w korytarzu X Powiatowej Szkoły wraz z Fendrikowem i raczył łaskawie zapalić jego papierosa, wzruszył ramionami i powiedział uspokajająco:

– Niech się pan nie denerwuje. Nigdy nie mieliśmy wypadku, żeby takich, jak pan ścinano na egzaminie. To tylko pro forma.

Fendrikow uspokoił się, ale nie na długo. Przez korytarz przeszedł Galkin, młody mężczyzna, z rzadziutką, jakby wyskubaną bródką, w spodniach z płótna żaglowego, w nowym, granatowym fraku. Spojrzał na Fendrikowa surowym wzrokiem i poszedł dalej.

Potem rozeszła się wiadomość, że przyjedzie inspektor. Fendrikow zdrętwiał i czekał już z takim strachem w sercu, jaki jest znany tylko podsądnym i przystępującym po raz pierwszy do egzaminu. Przez korytarz biegł na ulicę etatowy pedel Powiatowej Szkoły Chamow. Za nim, na spotkanie inspektora, podążał katecheta Zmijeżałow, w sutannie, z krzyżem na piersi, i inni. Inspektor szkół ludowych Achachow przywitał się głośno, wyraził swe niezadowolenie z powodu nadmiernego kurzu i wszedł do gmachu szkoły. Po pięciu minutach egzaminy rozpoczęły się.

Przeegzaminowano dwóch popowiczów, którzy kandydowali na nauczycieli wiejskich. Jeden zdał, drugi się obciął. Ten, który ściał się na egzaminie, wytarł nos w czerwoną chusteczkę, postął chwilę, pomyślał i wyszedł. Przeegzaminowano dwóch wolontariuszów trzeciego stopnia. Wreszcie przyszła kolej na Fendrikowa.

– Gdzie pan pracuje? – zwrócił się do niego inspektor.

– Pracuję jako ekspedytor w miejscowej filii pocztowej, wielmożny panie – odpowiedział Fendrikow stając na baczność i usiłując ukryć przed publicznością drżenie rąk. – Pracuję od dwudziestu jeden lat, wielmożny panie, a obecnie zażądano ode mnie świadectwa w związku z postawieniem mojej kandydatury na stanowisko registratora kolegijskiego, wobec tego

⁵ Saul – władca żydowski, zawzięty przeciwnik późniejszego króla Dawida.

ośmielam się poddać przeegzaminowaniu, by otrzymać stanowisko pierwszej kategorii.

– Taak... Proszę napisać dyktando.

Piwomiodow podniósł się z krzeselka, odchrząknął i zaczął dyktować niskim, przenikliwym basem, usiłując przyłapać egzaminowanego na wyrazach, które pisze się inaczej, niż się wymawia: „doskonała jest zimna woda, gdy człowiek ma pragnienie” itd...

Ale mimo podstępów Piwomiodowa dyktando się udało. Przyszły registrator kolegialny błędów zrobił niewiele, choć więcej zwracał uwagi na kaligrafię niż na ortografię. W wyrazie „nadzwyczajnie” napisał dwa „n”, wyraz „lepiej” napisał „lepiej”, słowami zaś „nowe stanowisko” wywołał na twarzy inspektora uśmiech, gdyż napisał „nowe satanowisko”, ale to nie były zbyt wielkie błędy.

– Z dyktanda dostatecznie – powiedział inspektor.

– Ośmielam się podać do wiadomości wielmożnego pana – powiedział zachęcony Fendrikow spoglądając z ukosa na swego wroga Gałkina – ośmielam się zameldować, że geometrii uczyłem się z podręcznika Dawydowa, poza tym uczyłem się jej u mego siostrzeńca Warsonofiego, który przyjeżdżał na wakacje z Troicko–Sjergiejowskiego, a także Wifańskiego Seminarium. I planimetrii się uczyłem, i stereometrii... wszystkiego, co jest...

– Stereometrii według programu nie należało się uczyć.

– Nie należało? A ja cały miesiąc nad nią prześlęczałem... Co za szkoda! – westchnął Fendrikow.

– Na razie nie będziemy mówili o geometrii. Przystąpimy do nauki, którą pan, jako urzędnik pocztowy, prawdopodobnie lubi. Geografia jest nauką pocztowców.

Wszyscy nauczyciele uśmiechnęli się z szacunkiem. Fendrikow nie zgadzał się z tym, że geografia jest nauką pocztowców (nigdzie o tym nie napisano: ani w przepisach pocztowych, ani w zarządzeniach wydawanych dla okręgu), ale powiedział z szacunkiem: „Tak jest”. Odchrząknął nerwowo i z przerażeniem oczekiwał pytań. Jego wróg, Gałkin, przechylił się do tyłu w krześle i nie patrząc na niego spytał przeciągle:

– E... proszę mi powiedzieć, jaki jest ustrój w Turcji?

– Wiadomo jaki... turecki...

– Hm!... turecki... Pojęcie bardzo rozległe. Turcja ma ustrój konstytucyjny. A jakie pan zna dopływy Gangesu?

– Uczyłem się geografii z podręcznika Smirnowa i, przepraszam bardzo, niewiele się nauczyłem... Ganges, to jest rzeka w Indiach, która płynie... rzeka ta płynie do oceanu.

– Ja pana o to nie pytam. Jakie dopływy ma Ganges? Nie wie pan? A gdzie przepływa Araks? I tego pan nie wie? W jakiej guberni znajduje się Żytomierz?

Trakt osiemnasty, miejsce sto dwudzieste pierwsze.

Na czoło Fendrikowa wystąpił zimny pot. Fendrikow zamrugnął powiekami i grdyka jego tak się poruszyła, że się wydawało, że przełknął własny język.

– Mówię jak na spowiedzi, wielmożny panie – zaczął bełkotać. – Nawet ojciec protojerej⁶ może poświadczyć... Przepracowałem dwadzieścia jeden lat i teraz tak jakoś... Całe swe życie będę prosił Boga...

– Dobrze, dajmy spokój z geografiami. Co pan przygotował z matematyki?

– I matematykę nie bardzo... Nawet ojciec protojerej może poświadczyć... Całe swe życie będę prosił Boga... Z podręcznika samego Pokrowa kułem i kułem; ale jakoś do głowy nie szło... Za stary jestem do tych nauk... Niech pan będzie tak łaskaw, wielmożny panie, proszę mi kazać przez całe swe życie prosić Boga...

Na rzęsach Fendrikowa zawisły łzy.

– Pracowałem uczciwie, nieskazitelnie. Spowiadam się co roku... Nawet ojciec protojerej może poświadczyć... Niech pan będzie wspaniałomyślny, wielmożny panie.

⁶ protojerej – prawosławny wyższy duchowny.

- Nic pan nie przygotował?
 - Wszystko przygotowałem, ale nic nie pamiętam... Wkrótce stuknie mi sześćdziesiątka, wielmożny panie, gdzie mi tam do nauki? Niech pan będzie łaskaw!
 - On już nawet czapkę z bączkiem obstał sobie... – powiedział protojerej Zmijezałow i uśmiechnął się.
 - Dobrze, może pan wyjść! – powiedział inspektor.
- Po upływie pół godziny Fendrikow triumfalnie szedł w towarzystwie nauczycieli do traktierni ⁷ Kuchtina na herbatę. Twarz jego promieniała, oczy płonęły, ale co chwila drapał się za uchem, widać nękała go jakaś myśl.
- Jaka szkoda! – mruczał. – Co za głupota z mej strony!
 - O co chodzi? – spytał Piwomiodow.
 - Po co ja się uczyłem stereometrii, jeśli nie ma jej w programie? Cały miesiąc nad nią, podłą, siedziałem. Jaka szkoda!

1884

⁷ traktiernia – jadłodajnia.

KAMELEON

Przez targowy plac kroczy rewirowy Oczumielów w nowym płaszczu z zawiniątkiem w ręku. Tuż za nim idzie rudy stójkowy z sitem pełnym skonfiskowanego agrestu. Cisza dookoła... Na placu nie ma żywego ducha... Otwarte drzwi sklepów i szynków patrzą smętnie na świat boży, jak głodne paszczęki, nie widać koło nich nawet żebraków.

– Będziesz mi tu gryzł, przekłety! – słyszy nagle Oczumielów. – Chłopcy, trzymać go! Teraz nie wolno gryźć! Łap! A... a!

Rozlega się psi skowyt. Oczumielów ogląda się i widzi: ze składu drzewa kupca Piczugina wybiega pies skacząc na trzech łapach i ogląda się trwożnie. Za nim pędzi mężczyzna w perkalowej, nakrochmalonej koszuli i w rozpiętej kamizelce. Pochylony ku przodowi, biegnie za psem i nagle pada na ziemię, chwytając go za tylne łapy. Znowu rozlega się psi skowyt i krzyk: „Trzymaj!” Ze sklepów wychylają się senne twarze i niebawem koło składu jak spod ziemi wyrasta tłum.

– Ani chybi, jakieś zakłócenie porządku, wielmożny panie...! – mówi stójkowy.

Oczumielów robi pół obrotu w lewo i kieruje się w stronę zgromadzonych ludzi. Widzi: przy samych drzwiach składu stoi opisany wyżej mężczyzna w rozpiętej kamizelce i podnosząc do góry prawą rękę pokazuje zebrany okrwawiony palec. Z jego pijackiej twarzy można wyczytać: „Już ja ci zadam bólu, szelmo!” Palec zaś wygląda jak sztandar zwycięski. W mężczyźnie tym Oczumielów poznaje złotnika Chriukina. W środku tłumu, rozstawiwszy przednie łapy i drżąc na całym ciele, siedzi na ziemi sprawca skandalu – młody szczeniak, biały chart z ostrą mordką i żółtą plamą na grzbiecie. W jego łzawiących się oczach widać przygnębienie i strach.

– Co się tu stało? – pyta Oczumielów przeciskając się przez tłum. – Czegoście się tu zebrali? A tobie co znowu z tym palcem...? Kto tu krzyczał?

– Idę sobie, wasza wielmożność, nikomu w drogę nie wchodzę... – zaczyna Chriukin kaszląc w garść. – Idę z Mirijem Mitryczem względem drzewa i nagle ten podlec ni z tego ni z owego chwyta mnie za palec. ...Przepraszam wielmożnego pana, jestem człowiek pracujący... Mam delikatną robotę. Niech mi zapłacą, gdyż tym palcem może nawet z tydzień nie będę mógł ruszać... Tego nawet w ustawach nie ma, wasza wielmożność, żeby przez takie bydlę człowiek musiał cierpieć... Gdyby wszyscy zaczęli gryźć, to już lepiej nie żyć na tym świecie...

– Hm!... Dobrze... – mówi Oczumielów, surowo ruszając brwiami i pochrzając. – Dobrze... Czyj to pies? Ja tego płazem nie puszczę! Ja wam pokażę, żeby tak psy rozpuszczać! Czas zwrócić uwagę na tych panów, którzy nie chcą podporządkować się przepisom! Gdy mu wlepię karę, draniowi, to będzie dobrze wiedział, co to jest pies czy inne bezpańskie bydlę! Już ja mu pokażę, gdzie raki zimują...! Jeldrin – zwrócił się przodownik do stójkowego – dowiedz się, czyj to pies i spisz protokół. A tego psa trzeba sprzątnąć. Natychmiast! Na pewno jest wściekły. Czyj to pies, pytam?

– To zdaje się generała Żygałowa! – mówi ktoś z tłumu.

– Generała Żygałowa?. Hm!... Zdejmij no, Jeldrin, ze mnie płaszcz. Strach, jak gorąco!

Chyba będzie deszcz... Jednego tylko nie rozumiem, jak on mógł ciebie ugryźć? – Oczumiełow zwraca się do Chriukina. – Czyż on może sięgnąć ci do palca? Toć on malutki, a z ciebie taki dryblas! Ty pewnie rozharatałeś palec ó jakiś gwóźdź, a potem przyszło ci do głowy, że może uda się na tym zarobić. Ty przecież... wiadomo, co z was za ludzie! Znam was, wy diabły!

– On, wasza wielmożność, dla kawału, papieros mu w mordę pchał, a ten, nie w ciemnię bity, cap go za palec... Głupi człowiek, wasza wielmożność!

– Łżesz, ty kulasio! Nie widziałeś, więc po co kłamiesz? Ich wielmożność mają swój rozum i poznają, kto łże, a kto wedle sumienia, jak przed Bogiem... A jeżeli ja kłamię, to niechaj sędzia pokoju rozsądza. On wie, co w prawie stoi napisane... Teraz są wszyscy równi... Sam mam brata w żandarmerii... jeżeli chcecie wiedzieć...

– Nie mądrzyć mi się tu!

– Nie, to nie pana generała... – mówi po namyśle stójkowy. – Generał nie ma takich. On przeważnie ma wyżły...

– A wiesz to na pewno?

– Na pewno, wasza wielmożność...

– Sam wiem. Generał ma psy drogie, rasowe, a ten, diabli wiedzą, co to jest! Ani maści, ani wyglądu... paskudztwo jakieś... I takiego psa trzymać?! Gdzie wy macie rozum? Niechby się trafił taki pies w Petersburgu albo w Moskwie, to wiecie, co by się stało? Tam nie patrzyliby na przepisy, tylko od razu – w łeb! Ty, Chriukin, zostałeś poszkodowany i tej sprawy tak nie puszczaj... Trzeba ich nauczyć! Najwyższy czas...

– A może i generalski?... – rozmyśla głośno stójkowy. – Na jego pysku nie jest napisane... Niedawno widziałem u niego na podwórzu takiego samego.

– Wiadomo, że generalski! – rozległ się głos w tłumie.

– Hm...! Jełdrin, pomóż no mi, bracie, włożyć płaszcz... Wiatr jakoś powiał... Ziębi mnie... Odprowadzisz go do generała i tam się zapytasz. Powiesz, że znalazłem go i przysyłam... I powiesz, żeby go nie wypuszczali na ulicę... Może to drogi pies, a jeżeli każda świnka będzie mu w nos pchała papierosa, to psina prędko się zmarnuje. Pies jest zwierzęciem delikatnym... A ty, bałwanie, spuść łapę! Nie masz po co wystawiać swego głupiego palucha! Sam jesteś sobie winien...!

– Idzie właśnie kucharz generała, zapytajmy go... Hej, Prochor! Chodź no tutaj, mój drogi! Spójrz na tego psa... Czy to wasz?

– Też wymyślił! Nigdy u nas takich nie było!

– Nie warto nawet pytać – mówi Oczumiełow. – To pies bezdomny! Co tu dużo gadać... Jeżeli powiedziałem, że bezpański, to znaczy, że bezpański... Zabić i tyle.

– To nie nasz – mówi dalej Prochor – to pies brata naszego generała, który przyjechał wczoraj. Nasz nie lubi chartów. Jego brat, to ich amator...

– Ach, to brat generała przyjechał? Włodzimierz Iwanycz? – pyta Oczumiełow i twarz jego rozjaśnia przymilny uśmiech. – Patrzcie państwo! A ja nic o tym nie wiedziałem! W odwiedziny przyjechał?

– W odwiedziny...

– Ach, mój Boże... Stęsknił się za bratem... A ja nic nie wiedziałem! Więc to jego piesek? Bardzo mi miło... Zabierz go... Piesek niebrzydki... Taki sprytny... Cap tego za palec! Cha – cha – cha!... No, czego drżysz? Wrrr... wr... Zły, szelma!... Ach, co za psina...

Prochor woła psa i odchodzi z nim od składu drzewa. Tłum śmieje się z Chriukina.

– Ty się jeszcze dostaniesz w moje ręce! – odgraża się Oczumiełow i, owijając się w płaszcz, rusza w dalszą drogę po rynku.

CHIRURGIA

Szpital ziemski. W czasie nieobecności lekarza, który wyjechał na własny ślub, chorych przyjmuje felczer Kuriatin – otyły, czterdziestoletni mężczyzna, w zniszczonej czesuczowej marynarce i wytartych sukiennych spodniach. Twarz jego wyraża zadowolenie i poczucie spełnionego obowiązku. Między wskazującym a środkowym palcem lewej ręki tkwi wstrętne woniejące cygaro.

Do pokoju przyjąć wchodzi zakrystian Wośmigłasow – wysoki, barczysty starzec w brunatnej sutannie, z szerokim skórzanym pasem.

Jego prawe oko jest pokryte bielmem i do połowy przesłonięte powieką, na nosie ma brodawkę, podobną z daleka do dużej muchy. Zakrystian przez chwilę szuka wzrokiem ikony, a nie znajdując jej, robi znak krzyża, kłaniając się w stronę butli z roztworem karbolowym, następnie wyjmuje z czerwonej chustki do nosa prosforę⁸ i z ukłonem kładzie ją przed felczerem.

– A—a—a... moje uszanowanie – ziewa felczer. – Co pana tu sprowadza?

– Przy świętej niedzieli najlepsze życzenia, Sergiuszu Kuźmiczu. Ja do wielmożnego pana... Za pozwoleniem, szczerą prawdę napisano w psalterzu: „A napój mój łzami rozcieńczę”. Usiadłem wczoraj z moją starą do herbaty i – mój Boże – ani rusz, żeby choć kropelkę, a tu ani tyciej odrobinki, wprost kładź się, człowieku, i umieraj. Łyknę troszeczkę – i więcej nie mogę! A do tego jeszcze ząb, cała ta strona... Rwie i rwie! W uchu świdruje, przepraszam za wyrażenie, jakby w nim był gwóźdź lub jakiś inny przedmiot; świdruje i świdruje! Grzeszny jestem i pełen winy... grzechy ciążą na mej duszy i w lenistwie żywot swój pędzę... Wszystko to za grzechy, Sergiuszu Kuźmiczu, za grzechy! Ojciec jerej⁹ karci mnie po mszy: „Język ci się płacze, Jefimie, i śpiewasz jak pęknięty garnek. Śpiewasz, a nic nikt nie rozumie”. Ale jaki, niech pan sam pomyśli; może być śpiew, jeżeli gęby nie można otworzyć, wszystko napuchło, przepraszam za wyrażenie, całą noc nie spałem.

– No, tak... Proszę siadać... Proszę otworzyć usta!

Wośmigłasow siada i otwiera usta.

Kuriatin nasepił się. Patrzy w otwarte usta i wśród pożółkłych ze starości i od tytoniu zębów dostrzega jeden, ozdobiony przepaścistą dziuplą.

– Ojciec diakon kazali mi przykładać wódkę z chrzanem – nic nie pomogło. Glikierija Anisimowna, daj jej Boże zdrowie, znowu dała mi nitkę z klasztoru na górze Atos, żebym nosił na ręce, i kazała ciepłym mlekiem zęby płukać, a ja, prawdę mówiąc, nitkę nałożyłem, ale co do mleka, to się nie zastosowałem; Boga się boję, przecież to post...

– Przesąd... (pauza). A ząb trzeba wyrwać, Jefimie Micheiczu!

– Pan wie lepiej, co trzeba, Sergiuszu Kuźmiczu. Na to jest pan uczoney, żeby wiedzieć, co trzeba; czy wyrwać, czy kropelkami lub czymś innym... Po to wy, dobrodzieje nasi, tu jesteście, daj wam Boże zdrowie, żebyśmy mieli za co modlić się na waszą intencję dzień i

⁸ prosfora – prawosławna hostia.

⁹ jerej – prawosławny duchowny.

noc, ojcaszkowie rodzeni... do grobowej deski...

– Drobnostka – felczer udając skromnego, podchodzi do szafy i grzebie wśród narzędzi. – Chirurgia – to bagatelka... Najważniejsze jest przyzwyczajenie, pewna ręka... Tyle co splunąć i po wszystkim. Niedawno, tak samo jak pan, przyjechał do szpitala obywatel ziemski Aleksander Iwanycz Egipski. Też z zębem... Człowiek wykształcony, o wszystko się pyta, na wszystkim się zna, co i jak. Rękę podaje, panem tytułuje... W Petersburgu mieszkał siedem lat, wszystkich profesorów poznał na wylot. Długośmy z nim tutaj... na wszystkie świętości zaklinał; wyrwij mi go pan, Sergiuszu Kuźmiczu! A dlaczegooby nie wyrwać? Tylko że tu trzeba rozumieć, co i jak, bez zrozumienia ani rusz. Zęby bywają różne. Jeden rwie się kleszczami, drugi – kozią nóżką, trzeci kluczem¹⁰ ... Zależy jak komu...

Felczer wyjmując kozią nóżkę, przez chwilę patrzy na nią z wahaniem, potem odkłada ją i bierze kleszcze.

– No, tak, proszę szeroko otworzyć usta – powiedział podchodząc do zakrystiana z kleszczami. – Zaraz my go tu, jego... tyle, co splunąć, i będzie po wszystkim. Tylko dziąsło naciąć... i dokonać trakcji wzdłuż osi pionowej... i już (nacina dziąsło)... i już.

– Dobroczyńcy wy nasi... Skąd my, głupcy, mamy wiedzieć, ale was to Pan Bóg oświecił.

– Proszę nie rozmawiać z otwartymi ustami. Ten, ząb łatwo się da wyrwać, ale bywa tak, że tylko same pnie... Ten tyle, co splunąć, i będzie po wszystkim (zakłada kleszcze). Chwileczkę proszę się nie ruszać... Proszę siedzieć spokojnie... Jedno mgnienie oka... (ciągnie). Najważniejsze, żeby chwycić jak najgłębiej... (ciągnie). Żeby koronka się nie złamała.

– Ojcowie nasi... O, Matko Najświętsza!... Wwww...

– Nie tego... nie tego... jak go tam? Proszę nie chwytać mnie za rękę! Proszę wziąć rękę! (ciągnie). Zaraz... już, już... Przecież to nie łatwa sprawa.

– Ojcowie... rodzeni... (krzyczy). – Anieli święci! Oho, ho... Ależ rwij już, rwijże! No, co pięć lat ciągniesz!

– To przecież... chirurgia... Tak od razu nie można... Już, już.

Wośmigłtasow podnosi kolana do łokci, przebiera skurczonymi palcami, wybałusza oczy, oddycha nierówno. Na jego pasowej twarzy występuje pot, oczy są pełne łez. Kuriatin, sapiąc i drepcząc na jednym miejscu przed zakrystianem, ciągnie... Mija męczące pół minuty – i kleszcze zeskakują z zęba. Zakrystian zrywa się z miejsca i wkłada paluchy do ust. W ustach znalazł ząb na dawnym miejscu.

– Wyrwał!... – mówi płaczliwie i jednocześnie dodaje kpiącym tonem. – Żeby cię tak na tamtym świecie ciągnęli! Dziękuję uniżenie! Jeśli nie umiesz rwać, to się nie bierz! Świata bożego nie widzę...!

– To po co za rękę chwytasz? – mówi rozzłoszczony felczer. – Ja tu ciągnę, a on mnie za rękę i jeszcze gada różne głupie słowa. Dureń!

– Sam jesteś dureń!

– Myślisz, chłopie, że to tak łatwo ząb wyrwać? Spróbuj tylko, to nie jest to, co wleźć na dzwonicę i w dzwony bębnić! (przedrzeźnia): „Nie potrafisz, nie potrafisz!” Patrzcie go, nauczyciel się znalazł! Widzicie go...! Panu Egipskiemu Aleksandrowi Iwanyczowi rwałem i nic, żeby choć jedno słowo... Pan trochę większy od ciebie, a za rękę nie chwytał. Siadaj! Siadaj, powiadam ci!

– Świata nie widzę... Pozwól odetchnąć... Och! (siada). – Tylko nie ciągnij długo, a rwij. Nie ciągnij, tylko rwij... Od razu!

—Będziesz mi tu uczył uczonego! Chryste Panie, cóż to za ludzie nie oświeceni! Żyj tu z takimi... do cna skapcaniejesz! Otwórz gębę... (zakłada kleszcze). Chirurgia, bracie, to nie żarty... to nie to, co modlitwy dukać nam na chórze... (ciągnie). Nie szarp się... Ząb widać

¹⁰ kleszcze, kozia nóżka i klucz – stomatologiczne instrumenty do wrywania zębów.

zastarzały głęboko zapuścił korzenie... (ciągnie). Nie kręć się! Tak... tak... Nie ruszaj się... No... no... (słysząc chrzęst). Wiedziałem, że tak będzie!

Wośmigłasow siedział przez chwilę bez ruchu, jak omdlały. Był oszołomiony, oczy jego tępo patrzyły w przestrzeń, na bladym obliczu błyszczał pot...

– Trzeba mi było wziąć kozią nóżkę... – mrucał felczer. – To ci zdarzenie!

Zakrystian powoli przychodził do siebie. Włożył palce do ust i w miejscu, gdzie był chory ząb, znalazł dwie sterczące zadry.

– Diabeł parrszywy... – wykrztusił. – Nasłali tu was, Judaszów, na naszą zgubę!

– Jeszcze mi tu będziesz wymyślać – warknął felczer odkładając kleszcze do szafy. – Nieuk. Za mało ci w bursie różeg brzozowych wsypali. Pan Egipski Aleksander Iwanycz siedem lat mieszkał w Petersburgu wykształcenie... Sam garnitur, co jest na nim, kosztuje sto rubli... a też nie wymyślał... A ty co. Taka ważna osobistość? Nic ci nie będzie, nie zdechniesz.

Zakrystian zabiera ze stołu swą proskurę i, przeciskając ręką policzek, udaje się do domu.

1884

MIĘTUS

Letni poranek. W powietrzu cisza; tylko na brzegu słychać cykanie polnego konika, gdzieś nieśmiało grucha synogarlica. Na niebie nieruchomo stoją pierzaste obłoki, podobne do rozsypanego śniegu. Obok budującej się pływalni, pod zielonymi gałęziami wierzby, pluszcze się w wodzie cieśla Gerasym – wysoki, chudy chłop, z rudą, kędzierzawą czupryną i zarosniętą twarzą. Stęka, nadyma się i mocno mrugając oczyma stara się wydobyć coś spod korzeni wierzby. Twarz jego zalana jest potem. W odległości sążnia ¹¹ od Gerasyma po szyję w wodzie stoi cieśla Lubim, młody, garbaty chłop o trójkątnej twarzy i wąskich mongolskich oczach. Zarówno Gerasym jak i Lubim są w koszulach i spodniach. Obaj aż posinieli z zimna, gdyż stoją w wodzie przeszło godzinę...

– I po co ty cały czas wtykasz rękę? – krzyczy garbaty Lubim drżąc jak w febrze.– Ty, głowo kapuściana! Trzymaj go, bo ten piekielnik gotów uciec! Trzymaj, mówię!

– Nie ucieknie. Jak ma uciec? Pod korzeń się wcisnął... – odpowiada Gerasym ochrypniętym, dudniącym basem, wydobywającym się nie z krtani, lecz z brzucha. – Śliski, diabeł, nie ma go za co chwycić.

– Ty go za skrzela łap, za skrzela!

– Nie mogę znaleźć skrzeli. Czekaj, chwyciłem za coś...za pysk chwyciłem... Gryzie, diabeł!

– Nie ciągnij za pysk, nie ciągnij, jeszcze wypuścisz! Za skrzela go łap, za skrzela! Znowu zaczynasz rękę wtykać! Jakież to nierozgarnięte chłopisko, ratuj, Królowo Niebieska! Łapże!

– „Łap” – przedrzeźnia Gerasym. – Znalazł się dyrygent. To przyjdź tu i sam łap, diable garbaty... Czego stoisz?

– Chwyciłbym, gdyby było można. Ale czyż przy, moim małym wzroście mogę stać koło brzegu? Tam przecież głęboko!

– To nic, że głęboko. Możesz pływać. Garbus, wymachując rękami, podpływa do Gerasyma i chwyta za gałęzie, ale przy pierwszej próbie utrzymania się na nogach pogrąża się z głową wypuszczając bańki powietrza.

– Mówiłem, że głęboko! – mówi i ze złością przewraca białkami oczu. – Na kark ci wsiądę, czy jak?

– Na korzeniu stań. Korzeni tu moc, prawdziwa drabina.

Garbus wyszukuje stopą korzeń i uchwyciwszy się na raz kilku gałęzi staje na nim. Złapawszy równowagę i umocniwszy się na nowej pozycji, pochyla się, stara się nie nabrać do ust wody i prawą ręką zaczyna myszkować między korzeniami. Zaczepiając o rośliny wodne i osuwając się po oślizgłych korzeniach natyka się ręką na kłujące kleszcze raka.

– Tylko ciebie tu brakowało, diable! – mówi Lubim i ze złością wyrzuca raka na brzeg.

Wreszcie jego ręka natrafia na rękę Gerasyma i, posuwając się po niej, dotyka czegoś śliskiego i chłodnego.

– Jesteś, bratku! – uśmiecha się Lubim. – Olbrzymi diabeł... Weź no w palce, a ja go zaraz

¹¹ sążeń – miara długości równa 216 cm.

za skrzele... Zaczekaj, nie trącaj łokciem... ja go tu zaraz... zaraz, pozwól tylko chwycić... głęboko diabeł wlaźł pod korzenie... nie ma za co chwycić. Nie można do głowy się dostać... Brzuch tylko namacałem... Zabij mi na szyi komara – piecze jak ogień! Chwileczka... za skrzela go... Zajdź z boku i pchaj go, pchaj! Wypychaj go palcem!

Garbus, nadawszy policzki, wstrzymuje oddech, wytrzeszcza oczy i widocznie zaczyna dobierać się do „skrzeli”, gdy nagle gałęzie, za które się trzymał lewą ręką, trzasnęły i Lubim straciwszy równowagę – chlup do wody! Fale, jakby przestraszone, uciekają od brzegu i, w miejscu gdzie Lubim wpadł do wody, wyskakują bańki powietrza. Garbus wypływa na powierzchnię i, parszkając, chwyta się za gałęzie.

– Ach ty czorcie, jeszcze się utopisz i trzeba będzie za ciebie odpowiadać...! – ochryple mówi Gerasym. – Wylaż, niech cię diabli wezmą! Sam wyciągnę!

Zaczynają obrzucać się przekleństwami... A słońce wciąż piecze. Cienie stają się coraz krótsze, kurczą się jak rogi ślimaka. Wysoka trawa, rozgrzana słońcem pachnie mocno i słodko. Południe już blisko, a Gerasym i Lubim w dalszym ciągu pluszczą się w wodzie pod wierzbą. Ochrypli bas i zziębnięty piskliwy tenor bezustannie mącą ciszę letniego dnia.

– Ciągnij go za skrzele, ciągnij! Zaczekaj, ja go wypchnę! I dokąd ty się pchasz z tą pięścią? Palcem go wypychaj, a nie pięścią, świński ryju! Zachodź z boku! Z lewej strony zachodź, z lewej, bo na prawo głębina! Do diabła trafisz na kolację! Ciągnij za pysk!

Rozlega się trzask bicza. Po spadzistym brzegu, pędzone przez pastucha Jefima, do wodospadu leniwie schodzi bydło. Pastuch, zgrzybiały, jednooki starzec z wykrzywionymi ustami, idzie z opuszczoną głową i patrzy pod nogi. Do wody pierwsze podchodzą owce, za nimi konie, a za końmi krowy.

– Popchnij go od dołu! – słyszy pastuch głos Lubima. – Wetknij palec! Czyś ty głuchy, czy co, diable! Co? Tfu...!

– A – kogo wy tak, chłopcy? – krzyczy Jefim.

– Miętusa! W żaden sposób nie możemy wyciągnąć! Pod korzeń wlaź! Zachodź z boku! Zachodzie!

Jefim przez chwilę mruży swe jedyne oko, patrzy na rybaków, po czym ściąga łapcie, zrzuca z ramion worek i zdejmuje koszulę. Tak się śpieszy, że nie ma już czasu zdjąć spodni. Przeżegnawszy się, kołyszac chudymi, opalonymi rękami, wchodzi w spodniach do wody... Pięćdziesiąt kroków brnie po mulistym. dnie, po czym zaczyna płynąć.

– Zaczekajcie, chłopcy! – woła. – Zaczekajcie! Nie wypuszczajcie go, nie wypuszczajcie! Umiejętnie trzeba go...!

Jefim przyłącza się do cieśli i cała trójka, potracając jeden drugiego łokciami i kolanami, stękając i przeklinając się wzajemnie, tłoczy się w jednym miejscu. Garbaty Lubim zachłysnął się wodą i w powietrzu rozlega się ostry, spazmatyczny kaszel.

– A gdzież to podział się pastuch? – rozlega się krzyk z brzegu. – Jefim! Pastuch! Gdzie jesteś? Bydło w ogród wlaźło! Wypędź je, wypędź z ogrodu! Gdzież jest ten stary zbój?

Słychać głosy męskie, następnie kobiece. Zza płotu ogrodu dworskiego wychodzi dziedzic Andrej Andreicz w szlafroku z perskiego jedwabiu, z gazetą w rękę. Spojrzał pytającym wzrokiem w stronę, skąd dochodzą głosy, po czym szybko podreptał do kąpielowej budki.

– Co się tu dzieje? Kto tak wrzeszczy? – pyta surowym głosem i ujrawszy poprzez gałęzie wierzby trzy mokre głowy rybaków znowu zapytał: – Czego się tam grzebiecie?

– Ry... rybkę łowimy... – bełkoce Jefim nie podnosząc głowy.

– Ja ci tu zaraz dam rybkę! Bydło w ogród weszło, a on rybkę... Kiedyż budka kąpielowa będzie gotowa, diabły jedne? Dwa dni już pracujecie, a coście zrobili?

– Bę... będzie gotowa... – stęka Gerasym. – Lato długie, zdąży pan jeszcze, proszę łaski pana, kąpeli zażyć... Pfrrr... W żaden sposób nie możemy poradzić sobie z miętusem... Wlaź pod korzenie, jak do nory, i ni tędy, ni siędy...

– Miętus? – powtarza dziedzic i oczy jego zaczynają błyszczeć. – To wyciągnijcie go

prędzej!

– A da wielmożny pan pół rubelka... jak wyciągniemy...? Olbrzymi miętus, gruby jak przekupka... Wart, proszę łaski pana, pół rubelka... za fatygę... Nie duś go, Lubim, nie duś, bo zamęczysz! Podepchnij z dołu! Ciągnij korzeń do góry, dobry człowiecze... jakżesz ci tam? Do góry, nie do dołu, diable jeden! Nie trzecie nogami!

Mija pięć minut, mija dziesięć... Dziedzic zaczyna się niecierpliwić.

– Wasilij! – woła w kierunku dworu. – Waśka! Zawołajcie do mnie Wasilija!

Przybiega parobek Wasilij, dyszy i coś miętosi w ustach.

– Właż do wody – rozkazuje mu dziedzic – pomóż im wyciągnąć miętusa. Miętusa nie mogą wyciągnąć!

Wasilij szybko się rozbiera i wchodzi do wody.

– Ja mu tu zaraz... – mruczy. – Gdzie ten miętus? Ja mu tu zaraz... Ja go w jednej chwili... Odsuń się, Jefimie, nie masz tu nic do roboty, jesteś za stary, by brać się do tego! Gdzie tu ten miętus? Ja go zaraz... Ach, tu jest! Weźcie ręce!

– A czemuż to mamy zabrać ręce? Sami wiemy, patrzcie go: zabierzcie ręce! A ty go spróbuj wyciągnąć.

– Przecież tak go nie weźmiesz? Trzeba za łeb!

– A łeb ma pod korzeniem! Wiadoma rzecz, durniu!

– Nie ubliżaj, bo jeszcze dostaniesz! Draniu jeden!

– Przy panu dziedzicu takie słowa... – bełkoce Jefim. – Nie wyciągniecie go, bracia! Strasznie sprytnie tam się usadowił!

– Zaczekaj, ja go tu zaraz... – mówi dziedzic i szybko zaczyna się rozbierać. – Zebrało się czterech durniów, miętusa nie mogą wyciągnąć!

Zrzuciwszy ubranie Andrej Andreicz chwilę stoi, aby ochłonać, po czym wchodzi do wody. Ale i jego udział również do niczego nie doprowadza.

– Trzeba podciąć korzeń – rozstrzyga wreszcie Lubim. – Gerasymie, idź no po siekierę! Podajcie siekierę!

– Tylko sobie palców nie pucinajcie! – mówi dziedzic, gdy rozlega się uderzenie siekiery o korzeń. – Jefim, wynoś się stąd! Zaczekajcie, ja sam wyciągnę miętusa... Wy nie tego...

Korzeń jest już podcięty. Odłamują go ostrożnie i Andrej Andreicz ku wielkiemu swemu zadowoleniu czuje, jak jego palce wchodzi miętusowi pod skrzela.

– Uwaga, chłopcy, ciągnę! Nie tłóczcie się... stójcie... już ciągnę!

Na powierzchni wody ukazuje się wielki łeb miętusa, za nim zaś ciemne ciało długości arszyna.¹² Miętus ciężko wali ogonem i usiłuje się wyrwać.

– Nie szalej...! Nic z tego, bratku! Dostałeś się... Ach...!

Na twarzach obecnych rozlewa się słodki uśmiech, Przez chwilę w milczeniu przyglądają się rybie.

– Wspaniały miętus! – bełkoce Jefim drapiąc się pod obojczykiem. – Chyba z dziesięć funtów będzie miał...

– N – tak...! – potakuje dziedzic. – Wątroba w nim się nadyma, po prostu wypycha ją z wnętrza. A...ach!

Miętus nagle poruszył ogonem i rybacy usłyszeli głośny plusk... Wszyscy gwałtownie wyciągają ręce, ale już jest za późno – po miętusie zostało tylko wspomnienie.

¹² arszyn – miara długości równa 72 cm.

KOŃSKIE NAZWISKO

Emerytowanego generał–majora Bułdijewa bolały zęby. Płukał usta wódką, koniakiem, przykładał do bolącego zęba sok z tytoniu, opium, terpentynę i naftę, smarował szczękę jodyną, w uszy włożył watę zmaczaną w spirytusie, ale to nie pomagało, a nawet wywoływało mdłości. Przyjechał doktor. Podłubał w zębie i przepisał chininę. To jednak też nie pomogło. Propozycję, aby bolący ząb wyrwać, generał potraktował odmownie. Każdy z domowników – żona, dzieci, służba, nawet kuchcik Pietka – proponował inny środek na ból zębów. Przyszedł również i ekonom Bułdijewa, Iwan Jewsjeicz, i poradził leczyć zamawianiem.

– W naszym powiecie, ekscelencjo – powiedział – z dziesięć lat temu pracował urzędnik akcyzy Jakow Wasiljicz. A zęby zamawiał znakomicie. Bywało: odwrócił się do okna, poszeptał, popluł... jak ręką odjął! Moc taką miał...

– Gdzież on teraz?.

– Kiedy go zwolnili z akcyzy, zamieszkał u teściowej w Saratowie. Teraz to tylko z zębów żyje. Gdy kogoś zaboli ząb, zaraz do niego, a on pomaga... Tamtejszych ludzi saratowskich leczy na miejscu, a jeśli ktoś z innego miasta, to telegraficznie. Niech wasza ekscelencja wyśle depeszę, że tak i tak: sługę Bożego Aleksieja bolą zęby, proszę poradzić. A pieniądze za leczenie można mu przesłać pocztą.

– Bzdury! Szarlataneria!

– Ale niech ekscelencja spróbuje. To wielki amator wódki, z żoną nie żyje, a z jakąś Niemką, strasznie przeklina, można powiedzieć – czarodziej!

– Wyślij, Alosza – błaga generałowa – ty wprawdzie nie wierzysz w zamawiania, ale ja sama na sobie tego doświadczyłam. Choć nie wierzysz, przecież możesz spróbować? Nic się złego nie stanie.

– No, dobrze – zgodził się Bułdijew. – Wysłałbym depeszę nie tylko do urzędnika akcyzy, ale do samego diabła... Och! Siły już nie mam. No, więc, gdzie mieszka ten twój czarodziej? Jak do niego adresować?

Generał usiadł przy stole i wziął pióro do ręki.

– W Saratowie każdy pies go zna – powiedział ekonom. – Proszę łaskawie pisać, ekscelencjo, do miasta Saratowa, znaczy: Do wielmożnego Jakowa Wasiljicza... Wasiljicza...

– No?

– Wasiljicza... Jakowa Wasiljicza... a nazwisko... A nazwisko jakoś zapomniałem! Wasiljicza... Do diabła. Jakżesz mu tam było? Kiedy szedłem tutaj, to pamiętałem... Chwileczkę...

Iwan Jewsjeicz spojrzał do sufitu i poruszył ustami. Bułdijew i generałowa niecierpliwie czekali.

– No, co? Myślże prędzej!

– Zaraz... Do Wasiljicza... Do Jakowa Wasiljicza... Zapomniałem! A takie nawet zwyczajne nazwisko... jakby końskie... Kobylin? Nie, nie Kobylin. Proszę zaczekać... Żrebakow może? Nie, nie Żrebakow. Pamiętam, że nazwisko było końskie, ale jakie – całkiem mi z głowy wyleciało.

– Żrebakiewicz?
– Nie. Chwileczkę... Kobylicyn... Kobylatnikow... Kobielew...
– To już psie, a nie końskie nazwiska. Żerebczykow?
– Nie, i nie Żerebczykow... Koński. Konikowski... Ogierowski... Wciąż nie to!
– Więc, jak mam zaadresować? Pomyśl tylko!
– Zaraz... Konikowski... Kobyłkin... Dyszlowy...
– Cugowski? – dorzuciła generałowa.
– W żaden sposób nie... Przyprzążkiewicz... Nie, nie tak! Zapomniałem!
– To po co, do diabła, pchasz się ze swymi radami, jeżeli zapomniałeś? – rozzłościł się generał. – Wynoś mi się stąd do licha!

Iwan Jawszejcz powoli wyszedł, generał zaś, chwyciwszy się za policzek, zaczął biegać po pokojach.

– Gwałtu! – jęczał. – Och, matko rodzona! Świata Bożego nie widzę!

Ekonom poszedł do ogrodu i, wzniosłszy oczy do nieba, zaczął przypominać sobie nazwisko urzędnika akcyzy:

– Żerebczykow... Żerebkowski... Żerebienko... Nie, nie tak! Szkapowski... Konikowski... Wałachowski... Kobyłański...

W chwilę potem wezwano go do pokoju państwa.

– Przypomniałeś sobie? – zapytał generał.
– Nie, wasza ekscelencjo.
– Może Koniawski? Końkowski? Nie?

I domownicy na wyścigi zaczęli wymieniać rozmaite nazwiska. Przejrzano wszystkie rodowody, rodzaje i gatunki koni, mówiono o grzywach, kopytach, uprząży... W domu, w ogrodzie, w czworakach, w kuchni ludzie chodząc z kąta w kat i drapiąc się w głowy poszukiwali nazwiska.

Wzywano do dworu co chwila ekonoma.

– Tabuński? – zapytywano go. – Kopytowski? Żrebowski?
– Nie i nie – odpowiadał Iwan Jawszejcz i, podnosząc oczy do góry, głośno myślał: – Konienko... Koniuchowski... Ogierowicz... Kobylicyn... Wałachowski...
– Tatusiu! – wołały dzieci ze swego pokoju. – Trójkowski! Uzdowski!

Cały dwór był podniecony. Zniecierpliwiony, wyczerpany generał obiecał pięć rubli temu, kto odgadnie prawdziwe nazwisko. Za Iwanem Jawszejczem zaczęto chodzić całą gromadą.

– Gniadowski! – podpowiadano mu. – Bułański! Kłusakowski! Koniawski!

Wreszcie zapadł wieczór, a nazwiska wciąż jeszcze nikt nie odgadł. Udali się na spoczynek, nie wysławszy depechy.

Generał całą noc nie spał, chodził z kąta w kat i jęczał... O trzeciej nad ranem wyszedł z domu i zastukał do okna ekonomy.

– Może Wałachowicz? – spytał płaczącym głosem.
– Nie, nie Wałachowicz, wasza ekscelencjo – odpowiedział Iwan Jawszejcz i westchnął z poczuciem winy.
– A może to jakieś inne nazwisko, nie końskie?
– Słowo daję, wasza ekscelencjo, że końskie... Pamiętam to bardzo dobrze...
– Ależ masz, człowieku, pamięć. Nazwisko to wydaje mi się teraz droższe od wszystkiego, co jest na świecie. Jestem zupełnie wyczerpany!

Rano generał znów posłał po doktora.

– Niech wyrwa! – zdecydował. – Nie mogę dłużej tak cierpieć.

Przyjechał doktor i wyrwał bolący ząb. Ból ustał od razu i generał uspokoił się. Doktor otrzymawszy ile mu się należało, wsiadł do bryczki i pojechał do domu. Za bramą w polu spotkał Iwana Jawszejcza. Ekonom stał na drodze i, patrząc w skupieniu pod nogi, o czymś myślał. Zmarszczki przecinające jego czoło i wyraz oczu świadczyły, że umysł jego był

wyżony do ostateczności.

– Bułanowski... Siodłowski... – mrucał. – Zołzowski... Konikowski...

– Iwanie Jewsjeiczu! – zwrócił się do niego doktor. – Czy nie mógłbym, mój kochany, kupić u was z pięć ćwierci owsa? Zwykle kupuję u chłopów, ale mają bardzo marny...

Iwan Jewsjeicz tępo spojrział na doktora, nieprzytomnie się uśmiechnął i bez słowa odpowiedzi, wymachując rękami, pobiegł do dworu tak szybko, jakby go gonił wściekły pies.

– Przypomniałem sobie, wasza ekscelencjo! – wrzasnął radośnie dzikim głosem, wpadając do gabinetu generała. – Przypomniałem sobie, niech Bóg da zdrowie doktorowi! Owsow! Owsow! Tak się nazywa! Owsow, wasza ekscelencjo! Proszę depeszować do Owsowa!

– Rychło w czas – odpowiedział generał z pogardą i pokazał mu dwie figi. – Teraz mi już niepotrzebne twoje końskie nazwisko! Masz!

1885

KAPRAL PRISZIBIEJEW

Podoficer Priszibiejew! Jesteście oskarżeni o to, że dnia trzeciego września znieważyliście słowem i czynem rewirowego Żygina, wójta Alpowa, sołtysa Jefimowa, świadków Iwanowa i Gawryłowa oraz sześciu włościan, przy czym wobec trzech pierwszych dopuściliście się zniewagi podczas pełnienia przez nich czynności urzędowych. Czy przyznajecie się do winy?

Priszibiejew, podoficer o pomarszczonej, kostropatej twarzy, staje na baczność i odpowiada ochryplym, zdławionym głosem, rąbiąc każde słowo, jakby komenderował:

– Wasza wielmożność, panie sędzio pokoju! Ze wszystkich artykułów prawa wynika, że każde zdarzenie należy oświetlać obustronnie. To nie ja jestem winien, tylko tamci wszyscy. Cała sprawa zaczęła się od tego nieboszczyka. Panie, świeć nad jego duszą. Idę sobie dnia trzeciego września z żoną Anfisą spokojnie i statecznie. Patrzę, a na brzegu stoi gromada ludzi. Jakim prawem ci ludzie tu się zebrali? – pytam. – Po co? Czy to w ustawach jest napisane, żeby ludzie stadami chodzili? Krzyczę więc: Rozejść się! – i zaczynam rozpychać ludzi, żeby szli sobie do domów. Kazałem strażnikowi rozpędzić ich na cztery wiatry.

– Chwileczkę, przecież nie jesteście rewirowym ani wójtem, czy to wasz obowiązek rozpędzać ludzi?

– Nie jego! Nie jego! – rozlegają się głosy z różnych kątów izby sądowej. – Życ nam nie daje, wasza wielmożność. Piętnaście lat cierpimy przez niego! Odkąd wrócił z wojska, od tej chwili żyć na wsi nie można. Zadręczył wszystkich.

– Tak jest, wasza wielmożność! – mówi świadek wójt. – Wszyscy jak tu jesteśmy wnosimy skargę. W żaden sposób wytrzymać z nim nie można! Czy to procesja w cerkwi idzie, czy wesele, czy dajmy na to jakiś wypadek – zawsze krzyczy, awanturuje się, niby że porządek zaprowadza. Dzieciaki za uszy targa, bab pilnuje, żeby się coś im nie zdarzyło, niby jaki teść. Nie tak dawno temu od chaty do chaty chodził, przykazywał, żeby piosenek nie śpiewać i żeby światła nie palić. „Nie ma takiego prawa, żeby wolno było piosenki śpiewać” – powiada...

– Zaczekajcie, jeszcze zdążycie złożyć zeznania – mówi sędzia pokoju – teraz niech mówi Priszibiejew. Mówcie dalej, Priszibiejew!

– Rozkaz! – ochryplym głosem krzyknął podoficer. – Wasza wielmożność raczy mówić, że to nie moja sprawa rozpędzać zbiegowiska. Dobrze. A jeżeli są nieporządki? Czy można pozwolić, żeby ludzie Bóg wie co wyrabiali? W jakich ustawach jest napisane, żeby ludziom pozwolić, by robili, co im się podoba? Ja na to nie mogę pozwolić. Jeżeli nie będę ich rozpędzał i trzymał w karności, kto będzie to robił? Nikt się na prawdziwych porządkach nie zna, w całej wsi tylko ja jeden, można powiedzieć, wasza dostojność, wiem, jak postępować z prostymi ludźmi, i wasza wielmożność, ja wszystko mogę zrozumieć. Ja nie jestem prosty chłop, jestem kapral, podoficer prowiantowy w stanie spoczynku. W Warszawie służyłem w sztabie, potem, raczy pan wiedzieć, gdy mnie z wojska zwolnili, to byłem strażakiem, a potem po chorobie tak straciłem siły, że ze służby strażackiej przeszedłem do męskiego klasycznego progimnazjum, gdzie przez dwa lata byłem woźnym. Wszystkie przepisy znam. A chłop – człowiek prosty, na niczym się nie rozumie i słuchać mnie powinien – dla jego własnego

pożytku. Weźmy na przykład choć tę sprawę. Rozpędzam ludzi, a na brzegu, na piaseczku leży trup topielca. Jakim prawem, pytam, tu leży? To ma być porządek? Co na to rewirowy? Dlaczego ty, powiadam, władz nie zawiadamiasz? Może ten topielec sam się utopił, a może ta sprawa Sybirem pachnie? Może to morderstwo kryminalne... A rewirowy Żygin nie zwraca najmniejszej uwagi, tylko papierosa pali. „Też – powiada – nauczyciel się znalazł. Skądęście – powiada – takiego wzięli? Czy to my bez niego – powiada – nie znamy naszych obowiązków?” Widocznie, powiadam, nie znasz, durniu jeden, kiedy tu stoisz i nawet uwagi nie zwracasz. „Ja – odpowiada rewirowy – jeszcze wczoraj dałem znać komendantowi posterunku”. Po co, pytam, komendantowi posterunku? Czy taki jest paragraf kodeksu? Czy w wypadkach, kiedy się kto utopi albo powiesi, lub coś w tym rodzaju, komendant jest potrzebny? To, powiadam, jest sprawa kryminalna, cywilna... Tu, powiadam, trzeba jak najprędzej wysłać meldunek do pana sędziego i do sądu, a przede wszystkim powinieś, powiadam, sporządzić protokół i posłać panu sędziemu pokoju. A on, ten rewirowy, słucha i śmieje się. I chłopci śmieją się również. Wszyscy się śmieli, wasza wielmożność. Pod przysięgą mogę to zeznać. I ten się śmiał, i tamten, i Żygin też się śmiał. Czego, powiadam, szczerzycie zęby? A rewirowy mówi: „Sędzia pokoju tych spraw nie rozsądza”. Od samych tych słów aż mnie febra zatrzęsła. Rewirowy, przecież tak było? – kapral zwraca się do rewirowego Żygina.

– Mówilem.

– Wszyscy słyszeli, jakieś to powiedział przy prostych ludziach: „Sędzia pokoju takich spraw nie rozsądza”. Wszyscy słyszeli, jakieś ty tego... Aż mnie, wasza wielmożność, aż mi się gorąco zrobiło, aż mnie zatrzęsło. Powtórz, powiadam, taki owaki, coś powiedział! A on znów te same słowa... Ja do niego... Jak ty możesz się tak wyrażać o panu sędzim pokoju? Ty, rewirowy policji – przeciwko władzy? Co? A czy ty, powiadam, wiesz, że pan sędzia pokoju, jeżeli tylko zechce, może cię za takie słowa wysłać z powodu twego nieprawomyślnego zachowania do powiatowej komendy żandarmerii? Czy wiesz ty, powiadam, dokąd cię za takie polityczne słowa pan sędzia pokoju może zesłać? A wójt na to: „Sędzia pokoju ma uprawnienia tylko w swoim okręgu. Tylko drobne sprawy do niego należą”. Tak właśnie powiedział, wszyscy to słyszeli... Jak, powiadam, śmiesz władzę lekceważyć? No, ze mną, bratku, nie żartuj, będzie z tobą źle. Pamiętam w Warszawie, kiedy byłem za woźnego w męskim klasycznym progimnazjum, jak słyszę jakieś nieodpowiednie słowo, to zaraz wyglądam na ulicę, czy nie widać żandarma; chodź no tutaj, powiadam, kawalerze – i o wszystkim mu melduję. A tutaj, na wsi, komu ma człowiek powiedzieć...? Złość mnie chwyciła. Przykro mi się zrobiło, że terazniejsi ludzie wpadli w samowolę i nieposłuszeństwo, więc zamachnąłem się i... ma się rozumieć nie tak, żeby za mocno, a w sam raz, leciutko, żeby więcej nie śmiał na waszą dostojność takich słów wygadywać... Za wójtem ujął się rewirowy. Więc ja rewirowego również. I tak się zaczęło... Zdenerwowałem się, wasza wielmożność... bo przecież bez tego nie można się obejść, żeby kogo nie uderzyć. Jeżeli durnia nie zbijesz, to grzech na twoją własną głowę spada. A szczególnie, gdy jest sprawa słuszna... jeżeli nieporządek...

– Chwileczkę! Do utrzymania porządku są wyznaczeni: rewirowy, wójt i sołtys.

– Rewirowy nie da rady dopilnować wszystkiego, a zresztą rewirowy nie rozumie tego, co ja rozumiem.

– Ależ zechciejcie zrozumieć, że to nie wasza sprawa!

– Co takiego? Jak to nie moja sprawa? Dobre sobie! Ludzie nieprzyzwoicie się zachowują i to ma być nie moja sprawa! A co, może miałem pochwalić ich za to? Oni się tu panu skarżą, że ja piosenki zabraniam śpiewać. A co dobrego jest w tych piosenkach? Zamiast zająć się jakąś pracą, śpiewają... A poza tym wprowadzili taki zwyczaj, że siedzą wieczorem przy świetle. Trzeba kłaść się spać, a tam rozmowy i śmiechy. Wszystko mam zapisane !

– Co takiego macie zapisane?

– A tych, co siedzą przy świetle! Priszibiejew wyciąga z kieszeni zatłuszczoną kartkę, wkłada okulary i czyta:

– Chłopi, którzy siedzą przy świetle: Iwan Prochorow, Sawa Nikiforow, Piotr Pietrow, żołnierka Szustrowa, wdowa, żyje nieprawnie w rozpuście z Sjemionem Kisłowem. Ignat Swierczok – zajmuje się czarami, a jego żona Mawra to wiedźma, po nocach chodzi doić cudze krowy.

– Wystarczy! – przerywa sędzia i zaczyna przesłuchiwać świadków.

Podoficer Priszibiejew, podniósłszy okulary na czoło, ze zdumieniem patrzy na sędziego pokoju, który, jak się okazuje, wcale nie jest po jego stronie. Wyłupiaste jego oczy błyszczą, nos staje się jaskrawo czerwony. Patrzy to na sędziego, to na świadków i w żaden sposób nie, może zrozumieć, dlaczego sędzia jest taki wzburzony i dlaczego ze wszystkich kątów izby słychać to szepty, to stłumiony śmiech. Niezrozumiały też jest dla niego wyrok: miesiąc aresztu!

– Za co? – pyta rozkładając ze zdziwieniem ręce. – Jakim prawem?

Tylko jedno jest dla niego oczywiste – że świat się zmienił i że żyć na takim świecie nie podobna. Snują mu się po głowie mroczne posepne myśli. Gdy jednak wychodząc z izby widzi chłopów, którzy stoją zbici w gromadę i o czymś rozprawiają, podoficer starym zwyczajem, którego już nie może przewyciężyć, staje na baczność i krzyczy ochryłym, gniewnym głosem:

– Ludzie, rozejść się! Nie tłoczyć się! Rrozejść się do domów!

1885

PRZEHOLOWAŁ

Geometra Gleb Gawriłowicz Smirnow przyjechał na stację Gniłuszki. Do majątku, w którym miał wykonać roboty miernicze, trzeba było jechać końmi jeszcze trzydzieści do czterdziestu wiorst. (Jeżeli woźnica trzeźwy, a konie nie – chabety, to nawet trzydziestu wiorst nie będzie, ale jeżeli woźnica pijany, a konie mizerne, to się uzbiera nawet pięćdziesiąt).

– Proszę mi powiedzieć, gdzie tu można dostać pocztowe konie? – zwrócił się geometra do stacyjnego żandarma.

– Jakże? Pocztove? Tu, w promieniu stu wiorst przyzwoitego psa pan nie znajdzie, a cóż dopiero mówić o pocztowych koniach... A dokąd pan chce jechać?

– Do Diewkina, majątku generała Chochołowa.

– Co tu robić? – ziewnął żandarm. – Niech pan pójdzie za stację, tam czasem stoją chłopci, którzy wożą pasażerów.

Geometra westchnął i powlókł się za stację. Po długich poszukiwaniach i wahaniach znalazł olbrzymiego chłopca, ponurego, dziobatego, w podartej siermiędze i łapciach.

– Diabli wiedzą, co to za furmanka! – zachnął się geometra gramoląc się na wóz. – Nie można zmiarkować, gdzie przód, a gdzie tył.

– A co tu miarkować? Tam gdzie koński ogon, tam przód, a gdzie wielmożny pan siedzi, tam tył.

Konik był młody, ale mizerny, nogi miał szeroko rozstawione i wystrzępione uszy. Kiedy woźnica wstał i zdzielił go parcianym batem, koń tylko potrząsnął łbem i dopiero gdy woźnica zaklął i uderzył go po raz drugi, wóz zgrzytnął i zatrząśnięty jak w febrze. Po trzecim uderzeniu wóz zakołysał się. Po czwartym, ruszył nareszcie z miejsca.

– Czy całą drogę tak będziemy jechali? – spytał geometra, który wśród bezustannych wstrząsów na wybojach podziwiał zdolność rosyjskich woźniców, która pozwala im łączyć żółwią jazdę z trzęsieniem wywracającym wnętrzości.

– Doje – dzieemy! – uspokoił go woźnica. – Kobyłka młoda i rącza... Niech się tylko rozpędzi, to jej potem nie można zatrzymać. Wioo, prze – klęta...!

Gdy wóz wyjeżdżał ze stacji, był już zmierzch. Na prawo od geometry ciągnęła się ciemna, zmarznięta i jakby bezgraniczna równina. Gdy się na nią wejdzie, lichy wie, dokąd doprowadzi. Na widnokręgu, tam gdzie się owa równina kończyła i zlewała z niebem, leniwie dogasała chłodna jesienna zorza. Na lewo od drogi rysowały się w mroku jakieś ciemne wyniosłości – może zeszłoroczne stogi, a może była to wioska. Geometra nie widział nic przed sobą, gdyż całe jego pole widzenia zasłaniały szerokie, niezgrabne bary woźnicy. Było cicho, ale chłodno, a nawet mroźno.

„Jakie tu jednak pustkowia” – myślał geometra, starając się zasłonić sobie uszy kołnierzem płaszczka. – „Ani żywej duszy. Gdyby, nie daj Boże, napadli bandyci i obrabowali – nikt by nie usłyszał, choćby się z armat waliło... I woźnica też niepewny... Spójrzcie, co za bary. Gdy takie dziecko natury tknie palcem – już po tobie. I pysk ma podejrzanym jak zwierzę”.

– Słuchaj, przyjacielu – powiedział geometra – jak się nazywasz?

– Ja? Klim.
– Jak tu u was, Klimie? Bezpiecznie? Nie napadają?
– Nie, dziękować Bogu... Kto tu ma napadać?
– To dobrze, że nie ma napadów... Ale ja na wszelki wypadek wziąłem ze sobą trzy pistolety – zełgał geometra. – Z pistoletem, wiesz, nie ma żartów. Można sobie poradzić nawet z dziesięcioma bandytami...

Ściemniło się. Wóz nagle zaskrzypiał, zapiszczał, zatrząsł się i, jakby od niechcienia, zwrócił w lewo.

„Dokąd on mnie wiezie? – pomyślał geometra. – Jechał wciąż prosto i nagle skręcił w lewo. Gotów mnie, łajdak, zawieźć do jakiegoś zapadłego kąta i... i... Zdarzają się przecież takie wypadki”.

– Słuchaj – zwrócił się do woźnicy. – Więc mówisz, że tu bezpiecznie? Szkoda... Lubię bić się z bandytami. Wyglądam wprawdzie na chudego, słabowitego ale silny jestem jak byk. Pewnego razu napadło na mnie trzech zbójów... I co sobie myślisz? Jednego tak zdzeliłem, że... rozumiesz, ducha wyzionął, a dwaj pozostali poszli z mojej przyczyny na Sybir, na katorgę. Sam nie wiem, skąd we mnie bierze się taka siła! Takiego dryblasza, jak ty jedną ręką przewrócę!

Klim obejrzał się na geometrę, twarz mu jakoś zadrgała; uderzył konia.

– Tak, bracie... – ciągnął geometra. – Nie daj Boże zaczynać ze mną! Nie dość, że bandyta straci ręce i nogi, ale jeszcze będzie odpowiadał przed sądem... Znam wszystkich sędziów i komisarzy... Jestem ważną osobą urzędową... I teraz jadę, a władze już o tym wiedzą i pilnują, żeby mi kto krzywdy nie wyrządził. Wszędzie po drodze porozstawiani są za krzakami strażnicy i żołnierze... Za – zatrzymaj się! – wrzasnął nagle geometra. – Gdzieżeś ty wjechał?... Dokąd mnie wiesziesz?

— Czyż pan nie widzi? Las!

„Rzeczywiście: las... – pomyślał geometra. – Ach, jakże ja się przestraszyłem! Nie należy zdradzać swego zdenerwowania... On już spostrzegł, że się boję. Bo i dlaczego tak często zaczął oglądać się na mnie? Widocznie coś knuje... Przedtem jechał ledwo, ledwo, krok za krokiem, a teraz, patrzcie, jak pędzi!”

– Słuchaj, Klimie, czemu tak pędzisz konia?

– Ja go nie pędzę, sam się rozpędził. A jak się rozpędzi, to już żadną miarą nie można go zatrzymać. Sam nie rad, że ma takie nogi.

– Łziesz, bracie! Widzę, że łziesz! Ale ja ci nie radzę jechać tak prędko! Wstrzymaj konia! Słyszysz? Wstrzymaj!

– A po co?

– A bo... bo za mną ze stacji ma wyjechać czterech towarzyszy. Trzeba, żeby nas dopędzili. Obiecali mnie dopędzić w tym lesie... Z nimi raźniej będzie dalej jechać. Chłopcy silni, krępi... każdy ma pistolet... Czego ty się wciąż oglądasz i kręcisz jak na szpilkach? Co? Ja, bracie, tego... bracie... Nie ma czego oglądać się na mnie, nic we mnie nie ma ciekawego... Chyba ze pistolety. Jeżeli chcesz, wyjmę je i pokażę... Proszę...

Geometra udał, że szuka po kieszeniach, ale wtedy stało się coś takiego, czego przy całym swym tchórzostwie się nie spodziewał. Klim zeskoczył nagle z wozu i na czworakach zaczął uciekać w gęstwinę.

– Ratunku! – wrzeszczał woźnica. – Ratunku! Zabieraj, przeklęty drabie, konia i wóz, tylko nie gub mojej duszy! Ratunku!

Słychać było szybkie, oddalające się kroki, trzask gałęzi, po czym wszystko ucichło... Geometra, który nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy, zatrzymał przede wszystkim konia, potem rozsiadł się wygodnie na wozie i zaczął rozmyślać.

„Uciekł... przestraszył się, dureń... No i co teraz robić? Sam jechać nie mogę, bo nie znam drogi i gotowi pomyśleć, że ukradłem mu konia... Co robić?”

– Klimie! Klimie!

– Klimie...! – odpowiedziało echo.

Na myśl o tym, że będzie zmuszony spędzić noc w lesie, na zimnie, słuchając wycia wilków i parskania nędznej kobyłki, po plecach geometry przebiegły mrówki.

– Klimek! – zawołał. – Gdzie jesteś, kochasiu? Klimek!

Ze dwie godziny tak krzyczał geometra i dopiero gdy ochrypnął zupełnie i już pogodził się z myślą noclegu w lesie, doszły go wraz z lekkim powiewem wiatru czyjeś jęki.

– Klimku, to ty, kochanku? Jedziemy.

– Za... zabijecie!

– Ależ ja tylko żartowałem, kochasiu! Niech mnie Bóg skarże! Żartowałem! Nie mam pistoletów! To ja tak ze strachu skłamałem! Proszę cię, jedź! Marznę!

Klim, zmiarkowawszy widocznie, że prawdziwy bandyta dawno by już znikł z wozem i koniem, wyszedł z lasu i niepewnym krokiem zbliżył się do swego pasażera.

– Czegoś się zląkł, głupi? Ja... ja tylko tak sobie... zażartowałem, a tyś się przestraszył...! Siadaj.

– Bóg z tobą, dziedzicu! – mruknął Klim włączając na wóz. – Gdybym był wiedział, to bym i za sto rubli nie pojechał. Omal nie umarłem ze strachu...

Klim uderzył konia. Wóz drgnął. Klim uderzył po raz drugi, wóz zachybotał się, a gdy nareszcie po czwartym uderzeniu ruszył z miejsca, geometra osłonił uszy kołnierzem i wpadł w zadumę: droga i Klim już nie wydawały mu się niebezpieczne.

1885

CHŁOPCY

Wołodia przyjechał! – ktoś krzyknął na podwórzu. Kochany Wołodienka przyjechał! – wrzasnęła Natalia wbiegając do pokoju stołowego. – Ach, mój Boże!

Cała rodzina Korolewych, oczekująca z godziny na godzinę swego Wołodi, podbiegła do okna. Koło podjazdu stały szerokie sanie, a od trójki białych koni buchała gęsta para. Sanie były puste, gdyż Wołodia już stał w sieni i czerwonymi, zziębniętymi palcami rozwiązywał baszłyk.¹³ Jego płaszcz, czapka, kalosze i włosy na skroniach były pokryte szronem i tak przyjemnie pachniało od niego mrozem, że chciało się samemu wyjść na mróz i powiedzieć: „brrr!” Matka i ciotka ścisnęły go i całowały. Natalia rzuciła mu się do nóg i zaczęła ściągać walonki, siostry piszczały, drzwi skrzypiały i trzaskały, a ojciec Wołodi, w kamizelce, z nożyczkami w ręku, wbiegł do przedpokoju i krzyknął z niepokojem:

– Spodziewaliśmy się ciebie jeszcze wczoraj! Dobrze dojechałeś? Bez przygód!?! Mój Boże, pozwólcie mu przywitać się z ojcem! Cóż to, nie jestem ojcem czy co?

– Hau, hau! – szczekał basem Milord, olbrzymi, czarny pies, stukając ogonem o ściany i meble.

Wszystko to się złożyło w jeden radosny gwar, który trwał parę minut. Gdy pierwszy paroksyzm radości minął, państwo Korolewowie zauważyli, że oprócz Wołodi, w cieniu padającym od wielkiego lisiego futra, w przedpokoju w kącie stała nieruchomo jeszcze niewielka postać, owinięta w chustki, szale i baszłyk, cała obsypana szronem.

– Wołodia, a to kto? – cicho spytała matka.

– Ach – opamiętał się Wołodia. – Mam zaszczyt wam przedstawić: mój kolega Czczewicyn, uczeń drugiej klasy... Przyjechał ze mną w gošcinę.

– Bardzo nam miło, prosimy – z radošcią powiedział ojciec. – Przepraszam, że jestem w stroju domowym, bez surduta. Pan będzie łaskaw! Natalio, pomóż panu Czczewicynowi rozebrać się! Mój Boże, a wypędźciez tego psa! Skaranie boskie!

W jakiś czas potem Wołodia i jego przyjaciel Czczewicyn, oszołomieni hałaśliwym powitaniem i jeszcze zaczerwienieni od chłodu, siedzieli przy stole i pili herbatę. Zimowe słońko, przesączaając się przez śnieg i oszronione okna, odbijało się w samowarze i kapowało swe jasne promienie w misce do płukania szklanek. W pokoju było ciepło i chłopcy czuli, że przez ich zziębnięte ciała niby mrówki przebiegają na przemian: ciepło i mróz, jak gdyby nie chcąc sobie nawzajem ustąpić.

– Tylko patrzeć – i Boże Narodzenie! – przeciągle mówił ojciec napełniając papierosa ciemnym tytoniem. – A czy to tak dawno było lato i matka odprowadzając cię płakała? I proszę, już przyjechałeś... Czas, bracie, mija szybko! Nie zdążysz się obejrzeć, jak starość nadejdzie. Panie Czybisow... proszę jeść, niech pan się nie kępuje! U nas bez ceremonii!

Trzy siostry Wołodi, Katia, Sonia i Masza – najstarsza miała jedenašcie lat – siedziały przy stole i nie spuszczały oczu z nowego znajomego. Czczewicyn, chłopak wzrostu Wołodi, nie był pulchny i biały, przeciwnie – szczupły, smagły i piegowaty. Włosy miał szczeciniaste,

¹³ Bbaszłyk – rodzaj kaptura z zawiązywanyymi końcami.

oczy wąskie, wargi grube; w ogóle nie był ładny i gdyby nie był ubrany w mundurek gimnazjalny, to z wyglądu zewnętrznego można by było go wziąć za syna kucharki. Czeczewicy był ponury, milczący i ani razu nie uśmiechnął się. Dziewczynki, patrząc na niego, z początku przypuszczały, że widocznie był bardzo mądrym i uczonym człowiekiem. Przez cały czas siedział tak pogrążony w swych myślach, że kiedy pytano go o cokolwiek, to wstrząsał się, odrzucał głowę w tył i prosił o powtórzenie pytania.

Dziewczynki spostrzegły, że Wołodia, zawsze wesoły i rozmowny, mówił mało, wcale się nie uśmiechał i jakby nie był zadowolony, że przyjechał do domu. Przez cały czas, gdy siedzieli przy herbacie, Wołodia zwrócił się do sióstr tylko jeden raz, w dodatku jakoś dziwnie. Wskazując palcem na samowar powiedział:

– A w Kalifornii zamiast herbaty piją dżyn.¹⁴ Wołodia również był zaprzątnięty jakimiś myślami; ze spojrzeń, jakie od czasu do czasu wymieniał ze swym przyjacielem Czeczewicy, można było sądzić, że obaj mieli wspólne myśli.

Po herbacie wszyscy poszli do dziecinnego pokoju. Ojciec z dziewczynkami usiadł przy stole i zabrali się do roboty, którą przerwało przybycie chłopców. Robili z kolorowej bibułki kwiaty i łańcuchy na choinkę. Była to praca zajmująca i ciekawa. Każdy gotowy kwiatek dziewczynki witały entuzjastycznymi, pełnymi podziwu okrzykami, jak gdyby ten kwiatek spadł z nieba; ojciec również się zachwycał, choć niekiedy rzucał nożyczki na podłogę i złościł się, że były tępe. Matka wpadała z zakłopotaną miną do dziecinnego pokoju i pytała:

– Kto zabrał moje nożyczki? Iwanie Mikołajewiczu, znowu wzięłeś moje nożyczki?

– Mój Boże, nawet nożyczek mi nie dadzą – płaczącym głosem odpowiedział Iwan Mikołajewicz i, przechylając się na oparcie krzesła, robił minę człowieka bardzo skrzywdzonego, ale po chwili znowu wpadał w zachwyty.

Dawniej, gdy Wołodia przyjeżdżał, również robił ozdoby na choinkę i wybiegał na podwórze, by patrzeć, jak stangret z pastuchem usypywali wzgórek ze śniegu. Teraz, podobnie jak Czeczewicy, nie zwracał najmniejszej uwagi na kolorowe bibułki. Ani razu nie odwiedził stajni. Siedzieli obaj pod oknem i o czymś rozmawiali półgłosem, potem rozłożywszy atlas geograficzny przyglądali się jakiejś mapie.

– Najpierw do Permi... – półgłosem mówi Czeczewicy – stamtąd do Tiumentia... potem do Tomska... potem... potem... na Kamczatkę... Stamtąd na łódkach Samojedów przez Cieśninę Beringa... A tam już Ameryka... gdzie jest moc zwierząt futerkowych.

– A Kalifornia? – spytał Wołodia.

– Kalifornia jest niżej... Byleby tylko dostać się do Ameryki, a wtedy Kalifornia nie za górami... a żyć można z polowania i rabunków.

Czeczewicy przez cały dzień unikał dziewczynek i patrzył na nie spode łba. Wieczorem po herbacie tak się złożyło, że na pięć minut zostawiono go samego z dziewczynkami. Milczeń nie wypadało, więc odchrząknął z powagą, prawą dłonią potarł lewą rękę, spojrzął ponurym wzrokiem na Katię i spytał:

– Czytała pani Mayne Reide'a?

– Nie, nie czytałam... Proszę pana, czy pan umie jeździć na łyżwach?

Czeczewicy, pogrążony w swych myślach, nie odpowiedział na to pytanie, a tylko wyduł policzki i westchnął tak, jakby mu było bardzo gorąco. Jeszcze raz podniósł wzrok na Katię i powiedział:

– Gdy stado bizonów pędzi przez pampasy, to ziemia aż drży i spłoszone mustangi galopują i rżą. – Czeczewicy smutno się uśmiechnął i dodał: – I Indianie napadają na pociągi. Ale najgorsze ze wszystkiego są moskity i termity.

– A co to jest?

– To jest coś w rodzaju mrówek, tylko że ze skrzydłami. Tną bardzo mocno. Wie pani, kto

¹⁴ dżyn – ang. gin, alkohol.

ja jestem? – Pan Czczewicyn.

– Nie. Ja jestem Montigomo – Jastrzębi Pazur, wódz niezwycięzonych.

Masza, najmłodsza dziewczynka, spojrzała na niego, potem na okno, za którym zapadał już zmierzch, i powiedziała z zadumą:

– A u nas wczoraj gotowali soczewicę.¹⁵

Całkiem niezrozumiałe słowa Czczewicyna oraz to, że Czczewicyn bez przerwy szeptał z Wołodią, i to, że Wołodia nie bawił się, a wciąż o czymś myślał – wszystko to było zagadkowe i dziwne. Obie starsze dziewczynki, Katia i Sonia, zaczęły uważnie obserwować chłopców. Wieczorem, gdy chłopcy zabierali się do spania, dziewczynki podkradły się pod drzwi ich pokoju i podsłuchały rozmowę. Oto, czego się dowiedziały! Chłopcy zamierzali uciec do jakiejś Ameryki na poszukiwanie złota; wszystko już mieli przygotowane do drogi: pistolet, dwa noże, suchary, szkło powiększające zamiast zapalek, kompas i cztery ruble gotówką. Dziewczynki dowiedziały się też, że chłopcy będą musieli przejść pieszko kilka tysięcy wiorst, że w drodze będą walczyli z tygrysami i dzikusami, że potem będą zdobywali złoto i kość słoniową; będą zabijali nieprzyjaciół, zostaną piratami, będą pili dżyn, wreszcie, że ożenią się z pięknymi kobietami i zajmą się uprawą plantacji. Wołodia i Czczewicyn rozmawiali z wielkim przejęciem przerywając sobie nawzajem. Czczewicyn nazywał siebie w tych rozmowach: „Montigomo – Jastrzębi Pazur”, Wołodię zaś – swoim bratem, „Błądą Twarzą”.

– Słuchaj, tylko ani słowa o tym mamie – powiedziała Katia do Soni kładąc się spać. – Wołodia przywiezie nam z Ameryki złota i kości słoniowej, a jak się wygadasz, to go nie puszczą.

W przededniu Wigilii Czczewicyn przez cały dzień studiował mapę Azji i coś notował, Wołodia zaś, znużony i spuchnięty, jakby go ucięła pszczoła, mocno ponury chodził po pokojach i nic nie jadł... W dziecinnyim pokoju zatrzymał się nawet przed świętym obrazem, przeżegnał się i powiedział:

– Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże, miej w opiece moją biedną, nieszczęśliwą mamę! Wieczorem Wołodia rozplakał się. Przed pójściem spać długo obejmował ojca, matkę i siostry. Katia i Sonia wiedziały, o co chodzi, młodsza zaś Masza nie domyślała się wcale; gdy spojrzała na Czczewicyna, wpadała w zadumę i, wzdychając, mówiła:

—Niania mówi, że w poście trzeba jeść groch i soczewicę.

W Wigilię wcześniej z rana Katia i Sonia cicho wstały i poszły popatrzeć, jak chłopcy będą uciekali do Ameryki. Ostrożnie przysunęły się do drzwi.

– Nie jedziesz więc? – pytał ze złością Czczewicyn. – Odpowiedz! Nie pojedziesz?

– O, mój Boże! – cicho płakał Wołodia. – Jakżesz ja mam jechać? Żal mi mamy.

– Błada Twarzy, bracie mój, proszę cię, abys jechał! Zapewniłeś, że pojedziesz, sam mnie do tego namawiałeś, a teraz, kiedy mamy jechać, tchórzysz!

– Ja... ja nie stchórzyłem... tylko... tylko żal mi mamy.

– Odpowiadaj: jedziesz czy nie?

– Pojadę, tylko... troszeczkę zaczekaj. Chciałbym jeszcze troszkę pobyc w domu.

– W takim razie jadę sam! – postanowił Czczewicyn.– Obejdę się bez ciebie. A opowiadał, że chce polować na tygrysy, chce walczyć! Kiedy tak, to oddawaj moje naboje!

Wołodia zapłakał tak rozpaczliwie, że siostry nie wytrzymały i też zapłakały cichutko. Zaległa cisza. – Jedziesz więc? – Czczewicyn spytał jeszcze raz..

– Po... pojadę.

– To ubieraj się!

Tu Czczewicyn, by zachęcić Wołodię, zaczął wychwalać Amerykę, ryczał jak tygrys, naśladował parostatek, kłął, obiecał oddać Wołodi słoniową kość i wszystkie skóry lwie i

¹⁵ soczewica – po ros. czeczewica (gra słów).

tygrysie.

Ten szczupły, smagły, piegowaty chłopak, o szpeciniastych włosach, w oczach dziewczynek był niezwykle, niepospolity. Bohater, zdecydowany, nieustraszony człowiek; ryczał tak, że stojąc pode drzwiami można było pomyśleć, że naprawdę był to tygrys czy lew.

Gdy dziewczynki wróciły do siebie i zaczęły się ubierać, Katia miała oczy pełne łez.

– Ach, jak ja się boję! – powiedziała.

Do godziny drugiej, zanim domownicy usiedli do obiadu, w domu był spokój, ale przy obiedzie okazało się jednak, że chłopców nie ma w domu. Posłano do czworaków, do stajni, do ekonoma, który mieszkał w oficynie, nie było ich nigdzie. Posłano do wsi – tam też nie znaleziono. Przy herbacie również chłopców nie było, a gdy siadano do kolacji, matka bardzo była niespokojna, nawet płakała. W nocy znowu szukano we wsi, posłano nad rzekę ludzi z latarnią. Boże, co to był za rwetes!

Następnego dnia przyjechał przodownik policji i coś pisał w jadalnym pokoju. Matka płakała.

Nagle przed gankiem zatrzymały się szerokie sanie – od trójki białych koni buchała para. Na podwórzu ktoś krzyknął:

– Wołodia przyjechał.

– Wołodienka przyjechał! – wrzasnęła Natalia wpadając do pokoju.

I Milord zaszczekał basem swoje: Hau, hau! Okazało się, że chłopców zatrzymano w mieście w Uniwersalnym Magazynie (chodzili tam obaj i pytali, gdzie można kupić prochu). Gdy weszli do przedpokoju, Wołodia zaczął płakać i rzucił się matce na szyję. Dziewczynki drżące, z przerażeniem myślały o tym, co teraz będzie.

Ojciec zaprowadził Wołodię i Czczewicyna do swego gabinetu i długo z nimi rozmawiał; matka również coś mówiła i płakała.

– Czy można tak postępować? – mówił ojciec z wyrzutem w głosie. – Nie daj Boże, dowiedzą się o tym w gimnazjum i wyrzucą was. Wstyd, panie Czczewicyn! Brzydko! To pana pomysł i będzie pan za to przez rodziców ukarany! Czyż można tak robić? Gdzieście nocowali?

– Na dworcu – odpowiedział Czczewicyn z dumą.

Wołodię potem wpakowano do łóżka, przykładano do czoła ręcznik skropiony octem. Wysłano też depeszę i następnego dnia przyjechała jakaś pani. Była to matka Czczewicyna. Zabrała syna i pojechała.

Gdy Czczewicyn odjeżdżał, twarz jego była surowa i harda. Żegnając się z dziewczynkami nie powiedział ani jednego słowa; tylko w zeszycie Kati napisał na pamiętkę: „Montigomo – Jastrzębi Pazur”.

1887

BEZBRONNA ISTOTA

Nie bacząc na to, że w nocy miał silny atak podagry i nie zwracając uwagi na mocno rozstrzęsione nerwy, Kistunow udał się już rano do biura i we właściwym czasie zaczął przyjmować interesantów oraz klientów banku. Wyraz jego twarzy był znużony, Kistunow ledwo mówił i oddychał z trudnością, jakby umierał.

– Czym mogę pani służyć? – zwrócił się do ubranej w przedpotopową salopę kobiety, bardzo podobnej z tyłu do wielkiego żuka.

– Za pozwoleniem, ekscelencjo – zaczęła prędko mówić petentka – mąż mój, asesor kolegialny Szczukin, chorował przez pięć miesięcy i gdy, z przeproszeniem pana, leżał w domu i leczył się, otrzymał bez żadnej przyczyny dymisję, a kiedy odbierałam jego pobory, to, proszę ekscelencji, okazało się, że potrącili mu dwadzieścia cztery ruble trzydzieści sześć kopiejek. „Za co” – pytam. „A bo on – odpowiedziano mi – wziął pieniądze z kasy koleżeńskiej i inni urzędnicy ręczyli za niego”. Cóż to znaczy? Czyż on mógł bez mojej zgody brać pieniądze? To niemożliwe, wasza ekscelencjo. Co to ma znaczyć? Jestem biedna kobieta i żyję z lokatorów... Jestem słaba, bezbronna... wszyscy mnie krzywdzą, od nikogo nie słyszę dobrego słowa...

Petentka zaczęła mrugać oczami i szukać w salopie chusteczki. Kistunow wziął od niej podanie i zaczął czytać.

– Przepraszam, jakże to? – wzruszył ramionami. – Nic nie rozumiem. Widocznie łaskawa pani źle trafiła. Podanie pani nie jest skierowane do naszej firmy. Niech się pani pofatyguje do instytucji, w której mąż pani pracował.

– Ach, dobrodzieju, w pięciu już miejscach byłam i nigdzie nie chcieli nawet podania ode mnie przyjąć! – odpowiedziała Szczukina. – Głowę straciłam, nie wiem sama, co dalej robić, ale zięć mój Borys Matwieicz, daj mu Boże zdrowie, poradził mi udać się do pana. „Niech mamusia – powiada – zwróci się do pana Kistunowa: ten człowiek ma wpływy, może dla mamusi wszystko zrobić”... Niechże mi ekscelencja pomoże!

– Proszę pani, nic nie możemy pani pomóc... Niech pani zrozumie: mąż pani, jak się orientuję, pracował w wydziale wojskowo-lekarskim, a nasza instytucja jest prywatnym handlowym bankiem. Jak można tego nie rozumieć!

Kistunow jeszcze raz wzruszył ramionami i zwrócił się do następnego interesanta, który ubrany był w mundur wojskowy i miał fluksję.¹⁶

– Ekscelencjo – żalonym głosem zaczęła Szczukina od początku – na to, że mój mąż był chory, mam świadectwo lekarskie. Proszę świadectwo, raczy pan rzucić okiem.

– Doskonale, wierzę pani – odparł Kustinow zirytowany – ale powtarzam: to nas nie dotyczy. Dziwna i nawet śmieszna historia! Czyż mąż pani nie wie, dokąd należy się zwrócić?

– On, ekscelencjo, nigdy nic nie wie, powtarza ciągle w kółko: „Nie twoja sprawa! Wynos się!” – nic więcej. A czyjaż to sprawa? Przecież siedzi na moim karku! Na mo-oim!

¹⁶ fluksja – zapalenie okostnej,

Kistunow znowu zwrócił się do Szczukinej i zaczął jej tłumaczyć, na czym polega różnica między wydziałem wojskowo-lekarskim a prywatnym bankiem. Szczukina słuchała uważnie, potwierdzała skinieniem głowy i wreszcie rzekła:

– Tak, tak, tak... rozumiem, dobrodzieju. W takim razie niech ekscelencja każe mi wydać chociaż piętnaście rubli! Zgadzam się na nie wszystko od razu.

– Uf! – ciężko westchnął Kistunow i odrzucił w tył głowę. – Czyż nie ma sposobu, żeby wtłoczyć pani do głowy to, co mówię! Niechże pani wreszcie zrozumie, że zwracanie się do nas z taką prośbą jest równie bezsensowne, jak na przykład składanie podania o rozwód w aptecce albo w barze. Nie dopłacono pani, na to zgoda, ale my z tym nic nie mamy wspólnego.

– Ekscelencjo, przez całe życie będę się za pana modliła, niech się pan zlituje nad sierotą. – Tu Szczukina zaczęła płakać. – Jestem kobietą bezbronną i słabą... Już ledwo żyję... Z lokatorami po sądach się włóczę, dla męża staram się o wszystko, zajmuję się gospodarstwem, a tu jeszcze trzeba iść do spowiedzi i zięć jest bez posady... To się tylko zdaje, że jem i piję. Ja ledwie na nogach się trzymam... Całą noc nie spałam.

Kistunow poczuł gwałtowne bicie serca. Zrobił minę męczennika, przycisnął rękę do piersi i znów od początku zaczął to samo tłumaczyć Szczukinej, ale głos mu się zerwał...

– Nie, przepraszam, nie mam siły z panią mówić – powiedział i machnął ręką. W głowie mu się zakręciło. – Pani i nam przeszkadza, i sama na próżno czas traci! Uf!... Aleksy Mikołajewiczu – zwrócił się do jednego z urzędników – niech pan z łaski swojej postara się tę sprawę wytłumaczyć pani Szczukinej.

Kistunow załatwił wszystkich interesantów, wrócił do swojego gabinetu, podpisał z dziesięć pism, a Aleksy Mikołajewicz wciąż jeszcze był zajęty sprawą Szczukinej. Siedząc u siebie w gabinecie, Kistunow długo słyszał ten dwugłos: monotony, powściągliwy bas Aleksego Mikołajewicza i płaczliwy, piskliwy głos Szczukinej...

– Jestem kobietą bezbronną, słabą i chorą – mówiła Szczukina. – Na pozór może wyglądam krzepko, ale jeżeli się przyjrzeć, to ani jedna żyłka nie jest we mnie zdrowa. Ledwie na nogach stoję, apetyt straciłam... Piłam dziś kawę, ale zupełnie nie czułam smaku.

Aleksy Mikołajewicz tłumaczył jej, jaka różnica zachodzi między wydziałami i skomplikowanym systemem składania podań. Wkrótce jednak zmęczył się i poprosił buchaltera o zastępstwo.

– Wyjątkowo nieznośne babsko! – oburzał się Kistunow wyłamując sobie palce w stawach i co chwila podchodząc do karafki z wodą. – Jakaś idiotka, zakuta pała! Mnie już prawie zamęczyła, a teraz ich gnębi, podła kobieta! Uf!... jak mi. serce bije!

Gdy w pół godziny potem zadzwonił, wszedł Aleksy Mikołajewicz.

– No, co tam u was? – zapytał Kistunow słabym głosem.

– W żaden sposób nie możemy jej wytłumaczyć, Piotrze Aleksandrowiczu! Jesteśmy już po prostu wyczerpani. My swoje, ona swoje...

– Ja... ja nie mogę znieść jej głosu.... Rozchorowałem się, nie wytrzymam.

– Zawołam portiera, Piotrze Aleksandrowiczu, niech ją wyrzuci.

– Nie, nie! – zląkł się Kistunow. – Jeszcze zaczniesz wrzeszczeć: w tym domu tylu mieszkańców, diabli wiedzą, co sobie o nas pomyślą... Postarajcie się, moi drodzy, jakoś jej wytłumaczyć, że ta sprawa nas nie dotyczy.

Po chwili znowu dzwięczał głos Aleksego Mikołajewicza. Po kwadransie bas jego ustąpił donośnemu tenorowi buchaltera.

– Wy-jąt-ko-wo podła baba! – oburzał się Kistunow, nerwowo wzduszając ramionami. – Głupia jak kura. Bodaj ją diabli wzięli. Zdaje się, że znowu wraca moja podagra... Znowu migrena...

W sąsiednim pokoju Aleksy Mikołajewicz, zupełnie wyczerpany, uderzył palcem w stół, a potem siebie w czoło.

– Słowem – powiedział – pani ma na karku nie głowę, ale ot co...

– No, proszę, no, proszę! – obraziła się stara. – Swojej żonie może pan tak postukać... Ordynus... I z rękami proszę ostrożnie.

Patrząc z nienawiścią i wstrętem, jakby chciał babę połknąć, Aleksy Mikołajewicz rzekł cichym, przytłumionym głosem:

– Precz stąd!

– Co-o?! – wrzasnęła nagle Szczukina. – Jak pan śmie? Mąż mój jest asesorem kolegialnym! Ordynus jakiś! Jestem kobietą słabą, bezbronną. Nie pozwolę na to! Pójdę do adwokata, zobaczysz, ślad po tobie zaginie! Trzech lokatorów wpakowałam do więzienia, a za swoje zuchwałe słowa będziesz się jeszcze tarzał u mych stóp. Ja do waszego generała pójdę! Ekscelencjo! Ekscelencjo!

– Wynoś się stąd, cholero! – zasyczał Aleksy Mikołajewicz.

Kistunow otworzył drzwi i wyjrzał do kancelarii.

– Co się stało? – spytał płaczącym głosem. Szczukina, czerwona jak rak, stała pośrodku pokoju i gestykulowała przewracając oczami. Opodał urzędnicy banku, zmordowani, czerwoni ze zmęczenia, spoglądali na siebie, zmieszani.

– Ekscelencjo! – rzuciła się ku Kistunowowi. – Oto ten tutaj, ten (wskazała na Aleksego Mikołajewicza) stuknął palcem w czoło, a potem w stół. Pan mu kazał sprawę załatwić, a on się wyśmiewa! Mój mąż jest asesorem kolegialnym, a ja jestem córką majora!

– Dobrze, szanowna pani – jęknął Kistunow – rozważę... postaram się... Niech pani przyjdzie... później...!

– A kiedy dostanę, ekscelencjo? Pieniądze są mi potrzebne jeszcze dziś!

Kistunow drżącą ręką potarł czoło, westchnął i znowu zaczął tłumaczyć całą rzecz:

– Łaskawa pani, powiedziałem już raz... Tu jest bank, instytucja prywatna, handlowa... Czego pani od nas chce? I niech pani nareszcie zrozumie, że pani nam przeszkadza.

Szczukina wysłuchała i westchnęła.

– Tak, tak... – potakiwała. – Ale pan będzie łaskaw, całe życie będę się za pana modliła, ekscelencjo, proszę być dla mnie wyrozumiałym jak ojciec rodzony. Jeżeli świadectwa lekarskie nie wystarczą, to mogę przedstawić świadectwo z komisariatu... Niech pan każe wydać mi pieniądze!

Kistunowi pociemniało w oczach. Wyrzucił cały zapas powietrza, jaki miał w płucach, i bez sił upadł na krzesło.

– Ile pani chce? – spytał słabym głosem.

– Dwadzieścia cztery ruble i trzydzieści sześć kopiejek.

Kistunow wyjął z kieszeni portfel, odliczył dwadzieścia pięć rubli i podał Szczukinej.

– Niech pani weźmie i... idzie!

Szczukina zawinęła pieniądze w chusteczkę, schowała je i ze słodkim, delikatnym, a nawet zalotnym uśmiechem spytała:

– Ekscelencjo, a czy mógłby mój mąż wrócić na swoją posadę?

– Wyjeżdżam... jestem chory... – powiedział Kistunow omdlewającym głosem. – Mam straszne bicie serca...

Gdy odjechał, Aleksy Mikołajewicz posłał woźnego po krople laurowe i wszyscy urzędnicy, zażywszy ich po dwadzieścia kropli, zasiedli do dalszej pracy, Szczukina zaś siedziała jeszcze dwie godziny w przedpokoju i rozmawiając z portierem czekała na powrót Kistunowa.

Przyszła też dnia następnego.

1887

Korekta Aleksander Baliński